

#b



KULTURA W DOMU

BOŻENA GRUSZKA



Okruszki od...

Gruszeki.

BOŻENA GRUSZKA

Okruszki od...
Gruszki



Wydawca

**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO**
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA TARNOWA

Tarnów 2020

Spis treści

Wstęp.....	4
Okruszek nr 1	5
Okruszek nr 2.....	6
Okruszek nr 3.....	8
Okruszek nr 4.....	9
Okruszek nr 5.....	10
Okruszek nr 6.....	12
Okruszek nr 7 (na Wielki Piątek).....	13
Okruszek nr 8.....	15
Okruszek nr 9 (medyczny)	15
Okruszek nr 10 (odpustowy)	17
Okruszek nr 11 (samotny)	19
Okruszek nr 12 (maski)	20
Okruszek nr 13 (na Światowy Dzień Książki)	22
Okruszek nr 14 (zielony)	23
Okruszek nr 15 (poprawnościowy).....	24
Okruszek nr 16 (czarnobylski na 26 kwietnia)	25
Okruszek nr 17 (o sztuce przetrwania).....	27
Okruszek nr 18 (alkoholowy)	28
Okruszek nr 19 baletowy (na Międzynarodowy Dzień Tańca)	29
Okruszek nr 20.....	31
Okruszek nr 21 (Majówkowy)	32
Okruszek nr 22 (ceramiczny).....	34
Okruszek nr 23 (Świerszczykowy)	35
Okruszek nr 24 (na 5 Maja)	36
Okruszek nr 25 (Patronki)	38
Okruszek nr 26 (okruszkowy)	40
Okruszek nr 27 (na Dzień Bibliotekarzy i Bibliotek).....	41
Okruszek nr 28 (kamienny)	43
Okruszek nr 29 (chlebowy).....	45
Okruszek nr 30 (rocznicowy)	47
Okruszek nr 31 (niezapominajkowy)	48
Okruszek nr 32 (na 16 maja wspominkowy)	50

Okruszek nr 33 (papieski)	51
Okruszek nr 34 (PRL)	53
Okruszek nr 35 (na 20 maja)	55
Okruszek nr 36 (na 22 maja o prawach zwierząt)	56
Okruszek nr 37 (żółwiowy)	58
Okruszek nr 38 (na rocznicę śmierci aktora)	60
Okruszek nr 39 („Rzeczy, których nie wyrzuciłem”)	62
Okruszek nr 40 (głodowy)	63
Okruszek nr 41 (sąsiedzki)	65
Okruszek nr 42	67
Okruszek nr 43 (bocianowo-dziecięcy)	69
Okruszek nr 44 (o grzeczności)	71
Okruszek nr 45 (śmieciowy)	73
Okruszek nr 46 (Indiański)	75
Okruszek nr 47 (cyrkowy)	77
Okruszek nr 48 (melodramatyczny)	78
Okruszek nr 49	80
Okruszek nr 50 (maturalny)	82
Okruszek nr 51 (powodziowy)	84
Okruszek nr 52	85

Wstęp

Dlaczego okruszki?

Lubię obserwować kury, takie zwykłe, zagrodowe kury dziobiące tu i tam i w ten sposób wzbogacające swój skromny jadłospis. Gdy trafi im się jakiś lepszy kąsek, wtedy głośnym gdakaniem przywołują swoje pierzaste koleżanki i razem zjadają znaleziony kawałek chleba, ziemniak czy inny smakołyk.

Moje dotychczasowe życie ma w sobie coś z kury. Stale czegoś poszukuję: a to ciekawych książek, a to zapomnianych rodzinnych anegdot, a to notatek prasowych z czasopism rozpadających się w zakamarkach magazynów bibliotecznych. Szukam miejsc związanych z moimi przodkami, szukam listów, zdjęć, wspomnień, upraszam o skany w księżnicach niedostępnych dla czytelnika przychodzącego z ulicy.

A gdy trafię na coś naprawdę niezwykłego, ciekawego, wtedy jak ta kura gdaczę i rozpowiadam swoją radość i dzielę się nią z innymi. Ot, na przykład ostatnio trafiłam na nieznane mi zdjęcie mojego ukochanego Dziadka – legionisty w książce stojącej w zasobach naszej Biblioteki Miejskiej. To dopiero było święto!

Dlatego, gdy zwrócono się do mnie z propozycją pisania „czegoś” w okresie pandemii dla Czytelników pozbawionych kontaktu osobistego z biblioteką, podjęłam to zadanie i od razu pomyślałam o okruszkach, o tych wszystkich drobiazgach, które nadają osobisty wyraz mojemu życiu, które mnie nadal kształtują i motywują do działania. Tymi właśnie drobiazgami chciałam podzielić się z Czytelnikami: moją miłością do książek, do poezji, pokazać moich idoli, moje hobby, zabrać ich do domu mojego dzieciństwa, ale też wyrazić swoje zdanie w sprawach ważnych obecnie dla nas wszystkich. Czy mi się to udało? Nie wiem, ocena należy do Czytelników.

Ja ze swojej strony dziękuję wszystkim, którzy umożliwili mi pisanie „Okruszków...”: Dyrekcji Biblioteki Miejskiej im. J. Słowackiego w Tarnowie w osobie pani Ewy Stańczyk, pani Marioli Górze za przekonującą motywację, pani Małgorzacie Sobol-Kiełbani za cierpliwość do moich tekstów wysyłanych w nieludzkich porach, a wszystkim czytającym za poświęcenie czasu i miłe komentarze.

Bożena Gruszka

Okruszek nr 1

Nikt z nas chyba nie przypuszczał, że w dwudziestym pierwszym wieku staniemy w obliczu zarazy o niespotykanym zasięgu. Do codziennego języka weszły takie słowa jak kwarantanna, pandemia, dezynfekcja czy koronawirus. Zwykłe czynności i sytuacje nagle stały się źródłem potencjalnego zagrożenia. Zakupy, wizyta u lekarza, msza święta, strzyżenie, paplanie przy kawie, spacer z dzieckiem – wszystko to zostało ujęte w karby nowych, ciągle zaostrzonych przepisów. Kwarantanna – jak rząd ją nazywa – narodowa ma zminimalizować zagrożenie, dać złudzenie bezpieczeństwa, jeżeli kto tylko może zamknie się w domu i przeczeka. Jak to wygląda w rzeczywistości widzimy wszyscy i wszyscy tego doświadczamy.

Jeżeli więc może to być dla nas pocieszeniem, to przypomnijmy sobie wielkie zarazy opisane w literaturze. Nie możemy wejść w przyjazne progi biblioteki tarnowskiej, ale od czego jest Internet? Nie będę tu streszczać ani analizować „Dżumy” Camusa, zrobili to mądrzejsi ode mnie. Chcę skupić się na naszym literackim podwórku.

Juliusz Słowacki w 1836 roku, tuż w okolicach Bożego Narodzenia musiał poddać się kwarantannie podczas podróży z Egiptu do Syrii. Jak sam barwnie o tym opowiadał, przybył do miejsca kwarantanny z karawaną wielbłądów, otrzymał zielony namiot, który sobie musiał rozbić z pomocą Arabów i po prostu w nim przeczekać kilkanaście dni zanim ruszył dalej. Na wzgórzach czuwali strażnicy, którzy nie pozwalali nikomu opuścić terenu.

Kwarantanna była dla poety wielką uciążliwością, znosił ją pokornie, nie mając innego wyjścia, szukał pocieszenia w widokach, ale jakimże pocieszeniem dla podróżnego może być nieodległy grobowiec, do którego lochów składano ciała zmarłych na dżumę i który kolorem ścian przypominał pożółkłe kości? W dodatku biednego kwarantannika dopadła burza, ulewa a w końcu powódź. Siła złego na Słowackiego. Gdy w końcu mógł znowu wsiąść na wielbłąda i ruszyć dalej, żegnał go widok porzuconego namiotu, machającego strzępem materiału.

Pobyty w tym miejscu zaowocował napisaniem wstrząsającego poematu „Ojciec zadżumionych”. Narratorem utworu i „ja” lirycznym jednocześnie jest ojciec dziewięcioosobowej rodziny, poddanej kwarantannie, z której żywym wyszedł tylko on sam. Wszyscy: trzy córki, trzech synów, niemowlę i żona zmarli na dżumę, co nieszczęsny ojciec precyzyjnie opisuje łącznie z potworną procedurą wyrzucania ciał. Przeżył tam w sumie 120 dni (trzy fazy kwarantanny po 40 dni), po czym mógł wrócić „na Liban”, do domu, gdzie wiedział, że będzie musiał odpowiedzieć nie tylko na pytania o dzieci i żonę, ale także o to, czy on sam jest zdrowy.

Dodam jeszcze, że żona nieszczęśnika miała szansę przeżyć, ale zachowała sobie w tajemnicy przed strażnikami i mężem wydobyte z grobu dziecka pamiątki po nim, więc i ona zapadła na tę straszną chorobę.

Jeżeli „Ojciec zadżumionych” Słowackiego to czytelnikowi za mało, sięgnijcie Państwo jeszcze po „Konrada Wallenroda” Mickiewicza, konkretnie po słynną „Balladę Alpuhary”. Tam zaraza celowo przywleczona z Grenady (ach, ten słynny „zwierz Alpuhary” – błąd popełniany przez wielu uczniów) wybiła wojska hiszpańskie oblegające miasto i triumfujące na jego gruzach:

„Hiszpanie trwożni z miasta uciekli;
Dżuma za nimi w ślad biegła,
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa...”.

Jak sami doświadczamy, nasza współczesna zaraza też biegnie w ślad za uciekającymi przed nią. Więc cierpliwie odbywajmy naszą narodową kwarantannę, czytajmy pogodną literaturę z nadzieją, że jeszcze będziemy spacerować, paplać z przyjaciółką przy kawie na Rynku i wymieniać książki w bibliotece.

Okruszek nr 2

Pamiętacie swoje pierwsze bazgroły? A pierwsze znaki literopodobne? Prawdopodobnie przepadły gdzieś w otchłaniach niepamięci, a może

jakaś babcia przechowuje te wnukowe nieporadności w starej szufladzie. Podobnie jest z pamięcią ludzkości. Zafascynowana nowoczesnością, lotami w przestrzeń międzyplanetarną, możliwościami komunikacji internetowej zapomina, że to wszystko zaczęło się od nieporadnego znaku, który nasz praprzodek narysował na ścianie jaskini. W jakim celu to zrobił? Kiedy znaki stały się formą ekspresji twórczej a nie tylko komunikatem typu „tu byłem, zabiłszy mamuta”?

Odpowiedzi na te pytania przynosi arcyciekawa książka Genevieve von Petzinger „Pierwsze znaki. Najstarsze symbole świata” (Kraków 2018, Wyd. UJ). Autorka jest antropopaleontologiem, archeologiem szukającym rozwiązania zagadki komunikowania się praludzi oraz szukającym potwierdzenia tezy, że człowiek pierwotny przeszedł na wyższy stopień cywilizacyjny w chwili, gdy odszedł od komunikowania się dosłownego w stronę znaków symbolicznych.

Von Petzinger ze współpracującym z nią fotografem przemierzyła liczne jaskinie w wielu krajach, często czołgając się w ciasnych, podziemnych korytarzach i szukając pozostawionych przed tysiącami lat rysunków i ciągów znaków typu kółka, kropki, daszki. Odkryła, że w Europie z okresu paleolitu pozostały w jaskiniach 32 znaki powtarzające się w różnych miejscach. To nie są narysowane czy wyryte zwierzęta, to są znaki symbolizujące miejsca, sytuacje, zawierające konkretne ale nieczytelne dla nas komunikaty. Ona te komunikaty potrafi odczytać i ożywić.

„Często zastanawiam się, co skłaniało ludzi do niebezpiecznych i mokrych podziemnych wędrówek, tylko przy świetle pochodni lub tłuszczowej lampki. Co takiego kryło się w jaskiniach, co sprawiało, że warto było podejmować taki trud tylko po to, by namalować dwie czerwone kropki?” (str. 23). Książka poświęcona trudnym zagadnieniom naukowym napisana jest łatwym językiem, czyta się ją jak opis przygód Indiany Jonesa. Dodatkowym walorem książki są ilustracje ukazujące paletę możliwości twórczych ludzi pierwotnych. Jeden z rysunków interpretować można jako skrzyżowanie jamnika z jednorożcem, jest to oczywiście interpretacja z przymrużeniem oka.

Okruszek nr 3

Rok temu wpadłam. Nie, nie tak jak myślicie. Wpadłam z książką. Wokół wrzała przedświąteczna gorączka. Ludzie myli okna. Wieszali firanki. Dźwigali ciężkie torby z zakupami. Sadzili bratki i stokrotki. A ja czytałam. Czytałam książkę, która pochłonęła mnie bez reszty. Jadłam – czytałam, czekałam u lekarza – czytałam, była ostatnia rzecz, którą widziałam przed zaśnięciem i pierwszą, którą widziałam po przebudzeniu. I co u mnie niespotykane, bo książki połykam w jeden wieczór – czytałam ją powoli, smakowałam, czytałam każdy przypis, sprawdzałam każde nazwisko.

Jestem wychowana na wsi, zabitej dechami, późno zelektryfikowanej. Znajduję w tej książce swojskiego „bejdoka” (u nas na zmianę z „sietniakiem”), sypiałam na łóżku z „podwyrkiem”, odwiedzałam okoliczne kapliczki a nawet sama próbowałam takowe stawiać (z marnym skutkiem, mało brakowało, a puściłabym z dymem dziadkową stodołę), sentyment do nich mi pozostał do dziś. Książka o tzw. sztuce ludowej i jej wybitnych twórcach, o procesach kreowania tej wybitności, o snobistycznej fascynacji rzekomym autentyzmem świątków, diabłów i maryjek.

Również o tym, jak Mojżesza lub Chrystusika przerabiano na Lenina i odwrotnie, w zależności od koniunktury. Jak do ludowej wycinanki i rzeźby wprowadzano socrealistyczne hasła i rekwizyty.

To oczywiście nie wszystko.

Książka jest pełna odniesień literackich, cytatów z rozmaitych rozpraw i artykułów, ale przede wszystkim jest soczysta, smakowita jak gruba pajda swojskiego razowca posmarowanego osobiście uklepanym masłem.

Wpadłam na nią przypadkowo, nazwisko autora było mi znane z programów mniejszościowych, w których brałam udział razem z uczniami.

„Wesołego Alleluja Polsko Ludowa czyli o pogmatwanych dziejach chłopskiej kultury plastycznej na ziemiach polskich”. Autor: Antoni Kroh (czyt.

*Korciło mnie, żeby napisać, skąd to życzenia „Wesołego Alleluja Polsko Ludowa” ale nie, nie napiszę. Przeczytajcie.

Kroo) - etnograf, znawca i zbieracz twórczości artystów chłopskich, pisarz, tłumacz, obserwator polskich gustów artystycznych.

Przy każdym z tych tytułów powinnam postawić przymiotnik „wybitny”, ale znając skromność autora, tego nie uczynię. Czytajcie, będziecie zachwyceni.

Okruszek nr 4

Gdyby mi ktoś zadał pytanie, czego oprócz oczywiście kontaktów z bliskimi, brakuje mi w tej pandemicznej samotni, to bez wahania odpowiedziałabym: spacerów z kijkami i dyskusji o książkach face to face. Przez jakiś czas tę drugą potrzebę wypełniały mi rozmowy z sąsiadką, która podobnie jak ja czyta dużo i co ważne: potrafi ciekawie o swoich lekturach mówić. Sąsiadka przyjęła jednak drastyczną strategię przetrwania i nikogo za próg nie wpuszcza od trzech tygodni, sama także nie wychodzi.

Z utęsknieniem więc wspominam nasz Dyskusyjny Klub Książki, w którym uczestniczę od 2008 roku. Trafiłam tam przypadkowo, przyszedłam do Filii nr 12 wymienić książki, a tam niespodzianka – zamiast stałej kadry pracowała na zastępstwie nieznana mi wówczas pani Mariola Góra. Co ciekawe, pani Mariola zaczęła mnie pytać o wrażenia z książek, które oddawałam. Zjeżyłam się nieco, ponieważ odebrałam jej pytanie jako formę sprawdzenia czy w ogóle te książki przeczytałam, po chwili jednak rozmawiałyśmy jak stare znajome. Wtedy właśnie pani Mariola powiedziała mi o DKK i zaprosiła na spotkanie, którego tematem była powieść laureatki literackiego Nobla za 2007 Doris Lessing „Lato przed zmierzchem”. Przekopałam się przez moją prywatną bibliotekę i znalazłam tom mocno zakurzony, w dodatku z ingerencjami cenzury, albowiem wydany był i kupiony przeze mnie w czasach studenckich czyli prawie już prehistorycznych.

Przyszedłam na spotkanie klubu w Galerii Niebieskiej 16. maja 2008 i zostałam. W ciągu tych 12 lat przeczytaliśmy i przegadaliśmy wiele ciekawych tytułów, których być może nigdy nie mielibyśmy okazji poznać.

Kłóciliśmy się, pisaliśmy recenzje, wymienialiśmy poglądami nie tylko na książkowe tematy. Chodziliśmy na spotkania autorskie, dyskutowaliśmy m.in. w galerii na dworcu kolejowym, jedliśmy ciastka i piliśmy kawę. Od pewnego czasu z Galerii Niebieskiej zeszliśmy na parter i spotykaliśmy się w czytelnicy prasy bieżącej, a przechodnie z zaciekawieniem przyglądali się grupce fanatyków czytania, którzy nie zwracali uwagi na upływający czas, tylko gadali, gadali...

Niestety, od czasu ogłoszenia pandemii nie możemy się spotykać. Kawę lub herbatę każdy sobie wypije w domowym zaciszu, ale z kim pogadać o książce? Przypadkowo trafiłam na dobry adres na FB: Dyskusyjne Kluby Książki (grupa oficjalna)

<https://www.facebook.com/groups/827871777725512/>.

Skupiają się tam ludzie tak jak ja pozbawieni możliwości bezpośredniego kontaktu i dzielą się swoimi doświadczeniami. Wyobraźcie sobie, że istnieją DKK działające zdalnie, za pośrednictwem Internetu. Każdy siedzi w swoim domu i w tym samym czasie uczestniczy w spotkaniu „na łączach”. Ludzie piszą recenzje, publikują je, inni się do nich ustosunkowują, książki żyją na nowy sposób. Przetrwamy. Czego sobie i Państwu życzę.

Okruszek nr 5

Gdzieś tak do dziesiątego roku życia Mama nazywała mnie Pyzią, nie dlatego, że byłam pyzata, ale z powodu mojej fascynacji przygodami Pyzy z książeczek Hanny Januszewskiej. I nawet gdy już chodziłam do szkoły i miałam inne zainteresowania, Mamie zdarzało się powiedzieć „Pyzia...”.

Pod koniec szkoły podstawowej, po raz pierwszy zobaczyłam rysunki i obrazy Józefa Wilkonja. Miłość do jego twórczości pozostała we mnie do dziś, w dodatku zupełnie przypadkowo dowiedziałam się, że artysta miał ulubioną krowę o imieniu, a jakże inaczej: Pyzia.

Kilka lat temu ukazała się pięknie ilustrowana książka dla dzieci „Krowa kolorowa” współautorstwa Ewy Karwan-Jastrzębskiej (wiersze) i Józefa

Wilkonia (rysunki). A w książeczce – „Pyzia nad Pyziami” . I jak tu nie wierzyć w szczęśliwe zbiegi okoliczności.

Od wielu lat kolekcjonuję wszystko, co wiąże się z krowami, mam setki figurek, klasery wypełnione znaczkami z całego świata (Zapewniam Was – krowy są wszędzie! Nawet na Francuskich Terytoriach Antarktycznych), stare ilustracje, karty telefoniczne, zupełnie zapomniane dziś etykiety zapatczane, kartki okolicznościowe, utensylia kuchenne itp.

Wyszukuję też ciekawe cytaty z literatury światowej dotyczące tych zwierząt tak zasłużonych dla ludzkości, a tak niesprawiedliwie traktowanych. O krowach pisali m.in. Nietzsche, Neruda, Wharton, Karon, Reymont, Gombrowicz, T. Karpowicz, I. Karpowicz, Szymborska, dla której w tym jarmarku cudów, jakim jest świat, „cud pierwszy lepszy – krowy są krowami”.

W 1963 roku na całym świecie podjęto działania na rzecz ograniczenia głodu pod hasłem „Freedom from Hunger”. Jednym z kilku symboli podstawowych produktów żywnościowych, obok drobiu, ryb, zboża, była krowa. W wielu krajach afrykańskich bydło traktowane jest lepiej niż ludzie, ponieważ zapewnia wszystko, co potrzebne jest do przetrwania. Truizmem jest przypominanie, że w Indiach krowy są święte.

Dzieci wychowane w mieście rzadko mają okazję zobaczyć żywą Mućkę lub Krasulę. Dlatego warto czytać im książki takie, jak „Krowa kolorowa” lub cykl „Krowa Matylda”. Z kolei dorosłym dedykuję cytat z bardzo dobrej powieści Jakuba Małeckiego „Rdza”. Zastosowałam w nim cenzurę* wobec jednego słowa (trzykrotnie powtózonego) ale nie zmienia to sensu jakże prawdziwej wypowiedzi:

„Krowa jak jest głodna, to jest głodna. A jak szczęśliwa, to szczęśliwa. I z krową nie ma tak, że na przykład udaje zadowoloną, a tak naprawdę to jest wkurzona* na coś sprzed dwóch dni, albo że za dwa tygodnie kopnie cię z powodu czegoś, co jej się przywidziało dzisiaj. Krowa jak jest wkurzona*, to jest wkurzona*. A jak nie, to nie. I to mi się w krowach podoba*¹¹”.

* J. Małecki, *Rdza*, Kraków: SQN 2017.

Kochajcie krowy. To od nich macie to mleko zachomikowane na czas pandemii.

Okruszek nr 6

Słyszeliście Państwo o mitfordzkiej zarazie? Nie? To poczytajcie. W niewielkim Mitford u stóp Appalachów, typowym amerykańskim miasteczku ze świątyniami kilku wyznań, ze stałym zestawem klientów w barze u Percy'ego, z Maine Street, z wypieszczonymi ogródkami, co pewien czas wybucha zaraza. Paraliżuje ona skutecznie życie wielu mieszkańców, ponieważ jest niezwykle zaraźliwa i roznosi się głównie drogą kropelkową.

Tak się jakoś składa, że zaczyna się zwykle w porze, kiedy klony wzdłuż Maine Street zaczynają płonąć jesienną czerwienią i wszyscy wędrują tam z aparatami, by uwiecznić orgię kolorów i przestać zdjęcia na miejscowy konkurs fotograficzny. Tam też najczęściej ludzie się wzajemnie zarażają, o ile już nie przyszli chorzy. Ale pokusa zobaczenia tego widowiska barw jest silniejsza, więc zakutani w szaliki i czapki, z ciemnymi okularami, nie bacząc na zagrożenie, jakie stwarzają, idą w tłum, robią zdjęcia a przy okazji posyłają zarazę tym, którzy jeszcze trzymają się na nogach.

Czym jest ta mitfordzka zaraza, charakterystyczna – wg oczywiście mieszkańców – tylko dla tego miasteczka? Objawy są podobne do skrzyżowania zwykłej grypy z grypą żołądkową, a więc bardzo wysoka temperatura, rozsadzający ból głowy i gałek ocznych, męczący kaszel, duszący katar ale przede wszystkim sensacje żołądkowe zmuszające chorego do ciągłego korzystania z toalety. Do tego dochodzą majaczenia, brak sił i apetytu. W dodatku jest to przypadłość o podwójnym podłożu: bakteryjnym i wirusowym. Ma dwie fazy: „suchą i gorącą oraz zimną i mokrą”. Po kilku dniach choroba przechodzi tak jak się pojawiła, ale ludzie długo do siebie dochodzą. O dziwo, nikt nie umiera, co zapewne jest pocieszające. Skutecznym sposobem uniknięcia zarażenia jest pozostanie w domu. Podczas jesiennej zarazy jedna z mieszkanek, wygłasza bardzo pouczającą kwestię:

„Tak właśnie zachowują się dzisiaj ludzie, są śmiertelnie chorzy, jednak nikt ale to naprawdę nikt nie kładzie się do łóżka i nie pije dużej ilości płynów, wszyscy wybierają się do centrum handlowego albo pędzą do sklepów spożywczych i kaszlą na kapustę*”. Skądś to znamy, prawda? Gdzież jest to dziwne miasteczko? Pewnie w każdej filii naszej biblioteki, ponieważ mówię o serii książek autorstwa Jan Karon o miasteczku Mitford. Autorka napisała najpierw powieść „W moim Mitford” a potem, gdy przekonała się, że zdobyła serca wielu czytelników, kontynuowała pisanie i wydawanie kolejnych tomów. Bohaterowie to zwykli ludzie, tacy jak my, przywiązani do swojej małej ojczyzny, gdzie wszyscy się znają, a w sytuacjach zagrożenia pomagają sobie wzajemnie.

Posłuchajcie Państwo mądrej rady zacytowanej wyżej. Zostańcie w domu.

Okruszek nr 7 (na Wielki Piątek)

„J wiem, i czuję, że tu jest Golgota,
Gdzieś był do krzyża przybity, o Panie!
Bo nie jest nigdzie tak ciężka tęsknota,
I takie blasków słonecznych konanie,
I taka żałość, i tak do ostatka
Nigdzie przy krzyżu syna nie trwa matka.”
(M. Konopnicka)

Na tle błękitnego nieba stojący w polu krzyż, którego poziome ramię wykonane jest z palmy wielkanocnej. Przez środek przewiązany czerwoną i niebieską wstążką

Takie krzyżyki, jak na zdjęciu wziętym z otchłani Internetu, robiliśmy u moich Dziadków w Wielki Czwartek wieczorem. Jeden był zawsze nieco

* J. Karon, *Przybieżeli pasterze. Cudowne lata w Mitford*, Poznań: Zysk i Ska.

wiekszy. Materiałem były palmy poświęcone w Niedzielę Palmową, a raczej wielki bukiet trzin, sitowia, bukszpanu, bazi, suchych kwiatów i bibułkowych wstążek.

Nad ranem w Wielki Piątek zaczynało się niezapomniane misterium cieni: mężczyźni wstawali przed świtem, brali kosze z krzyżkami i wyruszali na pola. Wbijali te krzyżyki na każdym rogu swojego pola, a ponieważ często były to nieduże spłachetki, więc i rogów do obstawienia było sporo. Wszystko to odbywało się w ciszy, bo to przecież dzień śmierci krzyżowej syna cieśli z Nazaretu.

Misterium stawiania krzyżyków kryło dla mnie, małej wówczas dziewczynki, jakąś baśniową tajemnicę. Wreszcie pewnego roku uprosiłam Dziadka, żeby mnie zabrał ze sobą. A surowy zazwyczaj Dziadek dla mnie zrobiłby wszystko. Dzielnie wstałam, szybko włożyłam cieplejsze rzeczy, kalosze i poszliśmy.

Podawałam Dziadkowi krzyżyki a on modląc się wbijał je w ziemię. Wokół, w rzednących ciemnościach snuły się sylwetki sąsiadów, którzy robili to samo: stawiając krzyżyki upraszali u Boga łaski dobrych plonów i bezpieczeństwa. Gdy kosz był pusty, wracaliśmy do naszej chatupki, gdzie Dziadek przybijał do drzwi wejściowych ten jeden większy palmowy krzyżyk, aby chronił dom.

Nasza Wielkanoc była skromna, wyprawa do odległego kościoła na rezurekcję (tak, „na głodnego”, wczesnym rankiem, taki był przecież sens tej uroczystości) a w domu wędlina, dużo jajek, ciasta - w tym pyszne drożdżowe wypieki Babci, własny chleb, lenistwo, bo poza obrządzeniem zwierząt niewiele wolno było zrobić.

I takiej Wielkanocy, refleksyjnej, cichej, życzliwej i leniwej życzę Wam wszystkim, którzy dotarliście do tego miejsca. Zdrowych, pogodnych, udanych Świąt. I nadziei. Każdy dzień przybliża nas do końca pandemii, naprawdę.

Okruszek nr 8

Wielu intelektualistów chętnie podpira się cytatem Immanuela Kanta, tym o „niebie gwiaździstym nade mną i prawie moralnym we mnie”, chociaż nie zawsze ten cytat ma sens w kontekście wypowiedzi osoby zabierającej głos, ponieważ najczęściej w ten sposób uzasadnia się niezbyt czytelne intencje w postępowaniu. A tymczasem Kant powiedział również coś bardzo mądrego i pięknego, coś akurat na te nasze trudne czasy, pogrążone w chaosie pandemii:

„Dla przeciwwagi wielu uciążliwości życia, niebo ofiarowało człowiekowi trzy rzeczy: nadzieję, sen, śmiech”.

Jakże pięknie współgrają te słowa z „Pieśnią IX” Jana Kochanowskiego:

„Nie porzucaj nadzieje,
jakoć się kolwiek dzieje,
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi
A po złej chwili piękny dzień przychodzi”.

Warto się wyciszyć, popatrzeć z balkonu na kwitnący krzew forsycji, posłuchać muzyki, zadzwonić do matki i podnieść ją na duchu. Nadzieja była zawsze podporą w trudach dnia, w walce o wolność, zawsze tam, gdzie wydawało się, że ciemne siły i złe moce triumfują. Nadzieja i sen, bo sen nadzieję przywracał. I śmiech, humor nawet ten czarny. Trzy wartości, które nic nie kosztują, nie trzeba po nie stać w kolejce, nie zdewaluują się, nikt nam ich nie odbierze.

Niech więc w tym świątecznym czasie towarzyszy nam nadzieja, dobry sen i uśmiech.

Okruszek nr 9 (medyczny)

Trudne czasy mają swoich bohaterów. Ale bywa i tak, że bohaterowie szybko tracą swój status, są wyzywani, opluwani, strącani z pomników. Na naszych oczach bohaterami okrzyknięto lekarzy, pielęgniarki, ratowników

medycznych, dla nich śpiewano z balkonów, urządzano zdalne koncerty, klaskano. Po miesiącu pandemii ci sami lekarze, pielęgniarki, ratownicy są krytykowani, odmawia się im podstawowych usług jak np. sprzedaż pieczywa, sąsiedzi zmuszają lekarkę do wyprowadzenia się, bo ich pozaraża... Lęk tłumu bierze górę nad podziwem, bezwzględność nad zrozumieniem.

Skazani jesteśmy na okrojone formy dostępu do kultury, w tym na telewizję. A tutaj z kolei powtórki, wśród nich „Znachor”, film z 1982 wg powieści Tadeusza Dołęgi – Mostowicza. Nie ma tygodnia, żeby przynajmniej w 3-4 stacjach TV nie odtwarzano go w różnych porach dnia i nocy. Ktoś powie: powieść dla kucharek, film dla mało wymagającego odbiorcy. A właśnie w nim jak w soczewce odbijają się i współczesne postawy medyków. „Doktor z miasteczka” nastawiony na zyski i leczenie bogatych właścicieli ziemskich, i znachor z młyna, który nie pamięta, że był najwybitniejszym chirurgiem, a leczy i ratuje ludzi z najtrudniejszymi przypadkami. Tych, których leczenia odmówił małomiasteczkowy doktor Pawlicki. I doktor Dobraniecki, który rozpoznał w znachorze swojego wybitnego poprzednika, mógł przemilczeć, udać, że nic nie wie, a jednak honor i szacunek dla dra Wilczura nakazały mu przyznać, że to zaginiony przed laty wielki kardiochirurg.

W literaturze znajdziemy wiele portretów lekarzy lepszych lub gorszych. Oł, choćby nasz doktor Judym – stawiany współczesnym lekarzom za wzór, a który miał w swojej karierze i takie sytuacje: „O dziesiątej siadał w gabinecie i przyjmował pewną kategorię chorych (przeważnie młodych zdechłaków) aż do godziny pierwszej. Po obiedzie zajmował się bawieniem dam, uczestniczył w organizowaniu teatrów amatorskich, spacerów...”.

Podziwialiśmy oddanie dra Rieux w „Dżumie”, Szumana w „Lalce”, Profesora w „Zdążyć przed Panem Bogiem”, towarzyszyliśmy doktorowi Żywago, dramatowi doktora Obareckiego z „Siłaczki”, rozterkom Wilbura Larcha w „Regulaminie tłoczni win”, spotkaliśmy też lekarzy podłych, zdemoralizowanych jak doktor Spanner w „Medalionach”. Mało kto pamięta, że za postacią Sherlocka Holmesa stoi świetny lekarz, Joseph Bell, którego

niezwykłe umiejętności diagnostyczne zainspirowały Artura Conan Doyle'a do stworzenia postaci słynnego detektywa.

Dziś, gdy jak nigdy wcześniej, lekarze i pracownicy ochrony zdrowia są widoczni i oceniani przez wszystkich, nie zapominajmy, że każdy z nas może znaleźć się w sytuacji wymagającej ich pomocy. A żeby ten okruszek nie był taki bardzo poważny, to przypomnę bajkę Ignacego Krasickiego „Doktor i zdrowie”:

„Rzecz ciekawą, lecz trudną do wierzenia powiem:

Jednego razu doktor potkał się ze zdrowiem;

On do miasta, a zdrowie z miasta wychodziło.

Przeląkł się, gdy go postrzegł, lecz że blisko było,

Spytał go: «Dlaczegoż to tak spieszo uchodzisz?

Gdzie idziesz?» Zdrowie rzekło: «Tam, gdzie ty nie chodzisz»”.

Okruszek nr 10 (odpustowy)

Pamiętacie odpust w Lipcach u Reymonta? Upalny dzień, tłum rozmodlonych ludzi, który po procesji rozchodzi się między kramami zwanymi przez pisarza budami? Cóż tam można było nabyć?

„Budy ze świętościami jaże się chwiały od babinego naporu. Nie mniejszy był tłok, kaj przedawali kiełbasy, wiszące na drążkach niby te grubachne postronki. Gdzie znów kupczyli chlebem a kukiełkami. Kajś Żyd nawoływał do cukierków, zaś jeszcze indziej nawet wstęgi wiewały spod płóciennych daszków i bicze przeróżnych paciorków, a wszędy był niepomierny gniot, harmider i wrzaski (...)”

Z dzieciństwa pamiętam odpustowe kramy w Łapanowie na świętego Bartłomieja i Tarnawie na święto Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. Główne drogi wiodące do kościołów obstawione przez prymitywne kramy, beczki z małosolnymi, baloniki na druciku albo i te na gumce wypchane trocinami, oszuści w „trzy kubki”, święte obrazki i różańce z ciasta, koguciki-świsławki, wiatraczki, piernikowe serca...

Przed wyjściem do kościoła Dziadek wręczał każdemu z wnuków kilka złotych i przykazywał, abyśmy najpierw uczestniczyli we mszy św. a dopiero po niej szli na kramy. Jejku, jak te złotówki paliły w kieszeni! Nie był to wielki majątek, ale przecież trzeba było kupić i ten różaniec z ciasta i bibułek, i ten balonik z trocinami, i te odpustowe cukierki o nieznanym smaku. Mój odpustowy rytuał zawierał jeszcze zakup czekoladki „Danusia” i ogórka z beczki. Nic to, że Babcia kiśła w domu ogórki, ten z odpustu wydawał się o niebo lepszy, zwłaszcza schrupany podczas czterokilometrowej drogi powrotnej.

A chłopcy? Oni dopiero nie mogli doczekać się odpustowych zakupów. Ich interesowało wszystko, co strzelało i wydawało huk. Prymitywne drewniane pukawki z korkiem na sznurku dobre były dla maluchów, chłopcy kupowali pistolety na kapiszony, a który nie miał pieniędzy, to nabywał same kapiszony, które następnie tłukł między kamieniami. Efekt huku był.

W niedzielę 19 kwietnia br. jest święto Miłosierdzia Bożego, patronalne święto parafii, w której przyszło mi mieszkać. Zawsze obchodzone tydzień po Wielkanocy. Jeszcze rok temu, już na kilka tygodni przed tym świętem na chodnikach i drzewach pojawiały się tajemnicze sznurki i wstążki oznaczające miejsca zajęte pod kramy. W sobotę w nocy kramarze rozstawiali swoje stoły, wczesnym rankiem zapętliali je wszelkimi dobrami, najczęściej produkcji chińskiej. Każdego roku kupowałam tradycyjne podłużne torebki wypełnione „odpuściokami” jak nazywała je moja przyjaciółka. Cukierki w kształcie poduszeczek, o egzotycznych czasami smakach, leżały potem tylko jako przypomnienie kolorowego dzieciństwa.

W tym roku musimy zadowolić się wspomnieniami. Koronawirus odebrał nam i tę atrakcję, a kramarzom okazję do zarobku. Mimo wszystko – trzymajmy się.

Okruszek nr 11 (samotny)

„Samotność jest przyjemnością dla tych, którzy jej pragną i męką dla tych, którzy są do niej zmuszeni.” (Władysław Tatarkiewicz)

Ten trudny czas pandemii i towarzyszącej samoizolacji szczególnie ciężko znoszą osoby samotne. Często ten stan dotyczy ludzi starszych. Zamknięci w mieszkaniach, pozbawieni kontaktu bezpośredniego ze znajomymi, bez możliwości wyjścia do kościoła, na spacer - gorzknieją, ich stan fizyczny się pogarsza, w dodatku z zewsząd słyszą, że są najbardziej zagrożoną grupą społeczną.

„Samotność, cóż po ludziach” – pytał Konrad. A jednak. Bez ludzi życzliwych, pomocnych, spolegliwych wielu seniorów nie miałoby szansy przetrwać w oderwaniu od świata zewnętrznego.

Przed wielu, wielu laty było taki bardzo popularny program telewizyjny „Ekran z bratkiem”. Jego twórcy wymyślili akcję „Niewidzialna ręka” skierowaną głównie do harcerzy ale podchwyconą w całej Polsce. Polegała ona na udzielaniu przez dzieci i młodzież anonimowej pomocy ludziom starszym, samotnym – można było np. porąbać drewno, posprzątać obejście, zrobić zakupy, podrzucić gazetę lub kawałek domowego ciasta pod drzwi. Dziś, bez akcji sterowanej z zewnątrz, wielu młodych ludzi bezinteresownie pomaga, przynosi zakupy, lekarstwa, dostarcza posiłki. Z takimi dobrymi duchami samotność mniej boli.

Ale jest też inny rodzaj samotności, polegający na wykluczeniu. Ot, plotka, złe słowo rzucone na podatny grunt i nagle wokół człowieka powstaje dziwna pustka społeczna. Milknie telefon, znajomi zapadają się pod ziemię, przyjaciółki nie mają czasu. Takiego społecznego wykluczenia doświadczyła Wiera Gran, wielka śpiewaczka żydowskiego pochodzenia, której urodziny minęły 20 kwietnia. Przed wojną zdobyła ogromną popularność, podczas wojny śpiewała w getcie warszawskim, z którego udało jej się uciec w 1942 roku. Jej popularność komuś przeszkadzała i budziła zazdrość na tyle, że rozpuszczono plotki o rzekomej współpracy z gestapowcami. Te plotki

uwiarygodniał po wojnie Władysław Szpilman. Jego postępowanie nie zmieniło się nawet, gdy Wiera została oczyszczona z zarzutów. Wyjechała do Izraela, potem do Francji, starała się występować, nagrywać, żyć normalnie. Była jednak straszliwie samotna, co pogrążało ją w stan choroby psychicznej. Zmarła niepokodzona ze światem w tym samym domu opieki, w którym przed wiekiem zmarł Cyprian Kamil Norwid.

Wielu bohaterów literackich to samotnicy, z wyboru lub z odrzucenia. Najczęściej to ludzie cierpiący dla jakiejś idei, z miłości lub powodowani szaleństwem. Jak ważny to temat, niech świadczy chociażby ilość wierszy zatytułowanych „Samotność” – jakie tu wielkie nazwiska: Zenon Przesmycki-Miriam, Anna Świrszczyńska, Bolesław Leśmian, Krzysztof Kamil Baczyński, Alan Edgar Poe, Rainer Maria Rilke i wielu, wielu innych.

Na koniec szczypta optymizmu. Ukochany miś wszystkich dzieci świata, miś o bardzo małym rozumku, powiedział bardzo mądre słowa, które niech będą przestaniem dla nas, samotnie przeżywających ten ciężki czas: „Całkiem miła ta samotność, kiedy jesteśmy razem”. My, czytelnicy, miłośnicy książek, jesteśmy przecież razem, nawet gdy osobno, prawda?

Okruszek nr 12 (maski)

Pierwsze maski, jakie w życiu zobaczyłam, to były maski śmigurników. Byli to kawalerowie, którzy w drugi dzień Wielkanocy chodzili po wiosce, „jukali”, zbierali jajka, ciasta, czasem pieniądze, oblewali panny wodą. Maski wykonane były po prostu z jutowych worków, w których wycięto otwory na oczy i usta, do tego wysokie czapy uplecione z powróseł i warkoczy słomianych, kozuchy wywrócone na lewą stronę, polewaczki z drewnianych rur. Boże, jak ja się strasznie bałam tych dziwaków, choć nie miałam powodu do strachu, polowali wodą na panny na wydaniu, a ja byłam zaledwie skrzatem jak Józka Borynianka. Gdzież by mi przyszło wtedy do małej głowy, że dożyję czasów, gdy maska stanie się moją drugą skórą, a szycie w domowych warunkach moim ulubionym wieczornym zajęciem.

Chodzimy w maskach, maseczkach – jak kto woli. Na ulicach przegląd wszelkich form i kolorów, od wyszukanych profesjonalnych masek z podwójnymi filtrami, przez maski jednorazowe, inne szyte z kolorowej bawełny, do tych najprostszych z chustki czy szalika. Nie do końca jesteśmy przekonani, że są nam one potrzebne, ale jednak dają złudne poczucie bezpieczeństwa. Trzeba, to nosimy. Pozwolą, to zdejmujemy.

W codziennym życiu różnych społeczności maski pełniły w zasadzie cztery główne role – miały zdobić, chronić, odstraszać lub ukrywać tożsamość. Tę pierwszą rolę z powodzeniem pełniły i pełnią karnawałowe maski weneckie. Ręcznie wykonywane, bogato zdobione, zakrywały całe twarze lub tylko okolice oczu. Maski ochronne znali już średniowieczni medycy, którzy musieli chronić się udzielając pomocy podczas zarazy. Te maski mogły budzić grozę, często były metalowe lub skórzane, z długim nosem-dziobem, który wypełniony był aromatycznymi ziołami. Maski odstraszające to na przykład maski samurajów, miały wywierać presję psychiczną na przeciwniku. Maski ukrywające tożsamość są chyba najbardziej znane, to maski przestępców, uciekinierów, postaci fantastycznych jak Kobieta Koń, Spiderman, Zorro czy pocziwy szpieg z Krainy Deszczowców.

A przy okazji warto sobie przypomnieć o roli maski w szeroko rozumianej kulturze. W dramacie antycznym wielkie maski noszone przez aktorów wskazywały na gatunek przedstawienia – maska smutna to tragedia, uśmiechnięta – komedia. Obydwie stały się symbolami teatru i często zobaczyć je można na plakatach, choćby na rzeszowskim Biennale Plakatu Teatralnego czy na wystawie „Dramat romantyczny w polskim plakacie teatralnym”.

Jedna z najważniejszych scen w twórczości Wyspiańskiego, to rozmowa Konrada z dwudziestoma dwiema maskami:

„maski znaczyć mają takich,
co myśl swą ukrywają
i nigdy jej nie stawiają jasno,
cudzą jest, czy ich jest własną”.

(„Wyzwolenie”, akt 2)

Noszone dziś maski i maseczki nie ukrywają naszych myśli, ale powoli stają się symbolem walki o zdrowie, troski o bliźnich i o nas samych. Swoje maseczki noszę od ponad miesiąca, też mi na początku przeszkadzały, parowały mi okulary, teraz wkładam maskę odruchowo, a okulary szlifuję gliceryną.

Okruszek nr 13 (na Światowy Dzień Książki)

Jest taki refleksyjny wiersz Stanisława Wyspiańskiego „Pociecho moja ty, książeczko...”, gdzie książka wymieniana jest obok nocy i dnia słonecznego jako wsparcie w przemijaniu człowieka. Wiersz bardzo, bardzo smutny, choć jakże trafnie wskazujący na możliwość ucieczki w świat lektury.

Urodziłam się na tyle dawno, że byłam świadkiem wielu literackich mód i klęsk, przeczytałam morze książek i stale mi mało. Mój Ojciec chrzestny obdarował mnie pakietem książek dla dzieci wydanych w roku mojego urodzenia. Kilka lat leżały na półce zanim Dziadek pozwolił mi do nich wreszcie zajrzeć, niestety, były to typowe socrealistyczne twory, choć trzeba przyznać – pięknie wydane, z ilustracjami doskonałych artystów plastyków. Dziadek nie miał jednak wyrozumiałości dla moich zachwyty i książki w złości spalił, żeby nie zarażały dziecięcego umysłu socjalistycznymi hasłami. Zapamiętałam jednak na całe życie jeden tytuł, jedną okładkę: duży format, na ilustracji gromadka dzieci pod rosochatą wierzba i staruszek, który dzieciom opowiada bajki. A w tle traktor – symbol nowoczesności, i stado krów. Szukałam w antykwariatach i wreszcie znalazłam: „W rodzinnej wiosce” Lucyny Krzemienieckiej. Jakaś szkolna biblioteka z Krakowa pozbyła się jej, mam prawo przypuszczać, że nie z powodu zniszczenia, bo stan idealny.

Ta książeczka to moje dzieciństwo, to moja pierwsza przygoda ze słowem pisanym. A potem było wiele innych. Dziadek wbrew pozorom był człowiekiem czytającym i dbał o dostęp do dobrej literatury. Każdej jesieni pożyczał w szkole plecak książek (zimą nie było do szkoły dojścia)

i wieczorami głośno nam czytał. Dlatego wcześniej poznałam bohaterów Sienkiewicza, Prusa, Verne'a, wiersze Konopnickiej i wiele innych. A przy okazji nauczyłam się czytać zanim poszłam do szkoły.

Książki ukształtowały całe moje życie. To dla nich zostałam nauczycielką języka polskiego, aby pokazywać uczniom ukryte światy wykreowane przez pisarzy. Wiele razy dokonywałam wyborów typu książka czy kosmetyk, prawie zawsze wygrywała książka.

Dziś, w Światowym Dniu Książek i Praw Autorskich, gdy książki drzemią uwięzione w zamkniętych bibliotekach, życzę Państwu i sobie abyśmy znowu mogli spotykać przy półkach pełnych nowości, abyśmy mogli wymieniać się wrażeniami. Mam też nadzieję, że ten ciężki dla nas okres narodowej kwarantanny przyczyni się do odrodzenia czytelnictwa papierowej książki, przecież, jak mówi znany wiersz Gałczyńskiego „Z książki płynie odwaga, książka w życiu pomaga”.

Okruszek nr 14 (zielony)

Wspominałam tutaj, że wychowywałam się na wsi, baardzo w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oddalonej od cywilizacji, długo bez elektryczności: o takich wioskach mówi się, że wrony tam zawracają. Do szkoły było dość daleko, w dodatku z górki, gorzej więc się wracało. Jak wszystkie wiejskie dzieciaki, ja i moi koledzy mieliśmy liczne obowiązki, więc ze szkoły nie bardzo nam się śpieszyło, szukaliśmy sobie różnych rozrywek: a to schodziliśmy nad rzekę obserwować ryby, a to zrywaliśmy kulki łopianu i wrzucaliśmy sobie wzajemnie we włosy, wreszcie graliśmy „w zielone”.

Trzeba było być przygotowanym, że nagle ktoś zada pytanie „masz zielone?” i należało się wylegitymować listkiem lub źdźbłem trawy. Przegrywający musiał wykonać jakieś polecenie, np. skakać żabką, stać na jednej nodze, nieść tornister osoby wyzywającej. Żeby uniknąć takiej sytuacji zawsze, wychodząc do szkoły, zrywałam listek bzu i trzymałam w tornistrze,

a późną jesienią i zimą była to gałązka jodły. Udawano mi się, nie pamiętam jakiejś bolesnej kary za brak zielonego.

Dlaczego takie wspomnienia, dziś, po wielu latach? Wokół nas szaleje zieleń, w różnych odcieniach, najpiękniejszych odcieniach, jakie tylko przynosi wiosna. Nawet skatowane piłą drzewa wypuszczają nowe pędy i liście. Uświadamiam sobie, że zieleń to również ulubiony kolor poetów. Nie królewska czerwień miłości, nie uspokajający błękit mądrości, ale właśnie kolor zielony, któremu przypisywana jest nadzieja.

„Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną” pisał Kazimierz Wierzyński. „Ja nie chcę wiele, ciebie i zieleń i żeby wiatr kołysał gałęzie drzew” wyznawał Władysław Broniewski. Z filozoficzną wyrozumiałością żegnała się z widokiem Wisława Szymborska: „Rozumiem, że mój smutek nie wstrzyma zieleni”. Jan Zych swoje strony rodzinne nazywał po latach „Krajem zielonym”. Do ukochanej kobiety zwracał się Leśmian słowami „Łąko – zielona łąko, szumna od istnienia”.

Od kilku dni możemy ponownie spacerować w parku lub w lesie, napawajmy się więc świeżą zielenią i nadzieją, że: „Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy, jeszcze któregoś rana odbijemy się od ściany” jak śpiewał Wojciech Młynarski w wierszu Darii Zawiałow.

Okruszek nr 15 (poprawnościowy)

d czasu do czasu słyszę w mediach wypowiedzi osób dziękujących, przepraszających, wyrażających wdzięczność, pochwałę, tłumaczących się, zapraszających, życzących itp. Szczególnie wiele okazji ku takim wystąpieniom stwarzają wszelkiego rodzaju konferencje prasowe, wywiady, gale np. mistrzów sportu, gale plebiscytowe, konkursowe - jest tego trochę, no i oczywiście zbliżające się ważne święta.

Niestety, 95% zabierających głos zaczyna swoją wypowiedź tak:

„Chcę poinformować...”

Szanowni państwo, chciałbym podziękować za to zaszczytne wyróżnienie...

Chciałabym podziękować mojemu menedżerowi, trenerowi...

Chcielibyśmy wyrazić wdzięczność za liczne głosy poparcia...

Bardzo chciałbym przeprosić w imieniu organizatorów za opóźnienie...

Chciałbym życzyć...".

Czasem „chciałbym” jest zastępowane słowem „pragnę”: „Pragnę podziękować, pragnę życzyć, pragniemy wyrazić...".

Mam wtedy ochotę wrzasnąć: człowieku, dlaczego tylko chciałbyś/chciałabyś/ pragniesz? Co stoi na przeszkodzie, żebyś poinformował/a podziękował/a, przeprosił/a, wyjaśnił/a, wyraził/a?

Na przykład tak:

„Informuję, że...

Szanowni państwo, dziękuję serdecznie za to zaszczytne wyróżnienie....

Dziękuję mojemu trenerowi...

Jesteśmy wdzięczni za liczne głosy poparcia...

Przepraszam w imieniu organizatorów za opóźnienie...

Życzę...".

To nie tylko inaczej brzmi, ma również inne znaczenie. Forma trybu przypuszczającego np. „chciał/a/bym” wyraża wolę, zamiar, chęć działań, które z nieznanых nam powodów nie mogą być zrealizowane. Ponadto jest to forma dłużej artykułowana, więc nie powinni się mówcy dziwić, że za plecami brzęczy im budzik. Dziękuję za uwagę.

Okruszek nr 16 (czarnobylski na 26 kwietnia)

Nie pamiętacie tego konkretnego dnia. To była sobota. Żyliśmy normalnie, wieszaliśmy pranie, dzieci biegały na placu zabaw, kupowaliśmy chleb. Nie pamiętacie tego konkretnego dnia, ponieważ nikt nam nie powiedział, co stało się za wschodnią granicą. Przez kilka dni żyliśmy

w kompletnej nieświadomości, że oto nad nami przesuwać się zaczyna chmura radioaktywnego pyłu. Pamiętacie to, co działo się później: najpierw skąpe informacje z nasłuchów, potem oficjalne komunikaty i jedna z najszybciej i najlepiej zorganizowanych akcji polskich służb medycznych - podanie płynu Lugola (stabilnego jodu) blisko 18 milionom dzieci i młodzieży w ciągu kilkudziesięciu godzin.

Dziś mijają 34 lata od czarnobylskiej tragedii. Na półce w moim pokoju leży książka Swietłany Aleksijewicz „Czarnobylska modlitwa”. Jeśli ktoś miał wątpliwości, dlaczego Swietłana otrzymała Nagrodę Nobla, to po przeczytaniu tej książki powinien tych wątpliwości się wyzbyc. „Czarnobylska modlitwa” należy do tych lektur, które czyta się ze ściśniętym gardłem i z narastającym w człowieku bezsilnym gniewem, że tak potraktowano ludzi, domy i zwierzęta, żywych i umarłych.

Oto fragment:

„...całą wieś zakopali. Mój tato był kierowcą, jeździł tam i potem opowiadał. Najpierw kopią wielki dół...Głęboki na pięć metrów... Podjeżdżają strażacy... Sikawkami myją dom od fundamentów aż po komin, żeby nie wzbijać radioaktywnego kurzu. Wszystko myją - okna, dach, próg. A potem dźwig podnosi dom i opuszcza do tego dołu... Poniewierają się stoiki, książki, lalki... Spychacz to wszystko wyrównuje... Zasypują całość piaskiem, gliną i ubijają ziemię. Ze wsi robi się szczere pole. Tam leży nasz dom. I szkoła, i rada wiejska... Jest tam też mój zielnik i dwa albumy ze znaczkami, a tak chciałam je zabrać”.

Autorka rozmawiała z setkami świadków, z wysiedlonymi, z dziećmi i z żołnierzami, którzy szli na reaktor wierząc w potęgę swego kraju i w dezynfekującą moc wódki. Opisuje umieranie „na Czarnobyl”. I niewyobrażalne akty miłości, walki o życie ukochanych osób. I strach przed odwiedzeniem grobu czarnobylca, bo może promieniuje... Przejmujące wypowiedzi dzieci, które utraciły swój pierwszy w życiu rowerek i widziały zabijanie ukochanych zwierząt domowych (na żółwia najeżdżało się buldożerem, szkoda było pocisku).

W takie dni, jak dziś, ogarnia mnie wielki smutek. To wszystko, co chciałam powiedzieć...

Okruszek nr 17 (o sztuce przetrwania)

Bardzo lubię oglądać programy przyrodnicze. Samoizolacja szczególnie sprzyja tej rozrywce, a może lepiej: domowej edukacji dorosłych. Niedawno odkryłam „Dzkie ścieżki przetrwania” – serial dokumentalny ukazujący rozmaite zwierzęta w ich naturalnym środowisku, przyjmujące rozmaite strategie przetrwania w warunkach, w jakich przyszło im żyć a zwłaszcza przekazać geny i wychować nowe pokolenie.

Patrząc na te rozmaite zwierzątka, które w siarczystym mrozie i pustynnym upale, w suszy i powodziach, starają się ocalić siebie i potomstwo, zobaczyłam nas – ludzi XXI wieku, którzy w obliczu pandemii robią to samo: chcą PRZETRWACĆ, PRZEŻYĆ i OCALIĆ bliskich. Bo czymże różnimy się dziś od malutkiej myszki badyłarki, dzikiego konia Przewalskiego, pustynnego fenka czy marmozety zwyczajnej? Chcemy jak one wszystkie zdobyć pożywienie, nie zarazić się i ocalić co się da z tego, co było. I jak one - przyjmujemy różne strategie, przy których cała nasza dotychczasowość, nasza wiedza i pozycja społeczna, jest funta kłaków niewarta.

A strategie nasze bywają różne: jedni odcinają się zupełnie od ludzi, skrupulatnie wypełniają zalecenia władz sanitarnych, zakupy przynoszą im wolontariusze pod drzwi, inni zawierzają wszystko modlitwie, jeszcze inni udają, że przecież nic się nie dzieje, pewnie dlatego, że wirus nie toczy się jak piłka po ulicach. Akurat w przypadku koronawirusa nowego ironicznego znaczenia nabiera wypowiedź Lisa, że „Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”. On, wirus, gdzieś tam jest. Nasuwa się mimo woli podobieństwo z czarnobyłskim promieniowaniem – jego też nie było widać, a ofiary były.

Mój wrodzony optymizm już wiele razy pomógł mi przetrwać rozmaite życiowe katastrofy. Więc po prostu żyję z dnia na dzień, myję ręce, odżywiam

się zdrowo i niczego nie planuję. Wychodzę ze śmieciami, bo jakoś same nie chcą wyjść, i przy okazji robię drobne zakupy. Od czasu uwolnienia parków i lasów chodzę z przyjaciółką na spacer z kijkami. Tzw. żywej gotówki nie miałam w rękach od dwóch miesięcy. I czytam, i czekam z utęsknieniem na otwarcie bibliotek, marcowe zapasy lektur już się skończyły.

PRZETRWAĆ i PRZEŻYĆ. Myślę, że skoro udaje się to myszce badylarce i niesamowitej marmozecie to i nam się uda. Czego sobie i Państwu życzę.

Okruszek nr 18 (alkoholowy)

W Internecie krąży dowcip o mniej więcej tej treści: jeszcze niedawno człowiek zalatujący na ulicy alkoholem uważany był za pijaka, dziś mówi się o nim, że dba o higienę. Jakie czasy, takie dowcipy. Wraz z rozpoczęciem zdecydowanej walki z koronawirusem poszły w górę ceny środków dezynfekujących na bazie alkoholu 65-70%, a tym samym bardzo dużo trzeba zapłacić za standardową, półlitrową butelkę spirytusu 95%. Odnieść można wrażenie, że w związku z pandemią alkohol jako taki nam wyszlachetniał, albowiem służy ochronie zdrowia.

W literaturze sceny z alkoholem nie należą do rzadkości. Ot choćby słynna scena w sypialni Wolanda:

„Noblesse oblige – zauważył kocur i nalał Małgorzacie do smukłego kieliszka jakiegoś przezroczystego płynu.

– To wódka? – słabym głosem zapytała Małgorzata.

Kot poczuł się dotknięty i aż podskoczył na krześle.

– Na litość boską, królowo – zachrypiał – czy ośmieliłbym się nalać damie wódki? To czysty spirytus”. (Bułhakow „Mistrz i Małgorzata”)

Smaczku tej scenie dodaje fakt, że autor był abstynentem, a jednak potrafił zgrabnie włączać procentowe napitki do swojej twórczości.

Podobno wiele książek nigdy by nie powstało, gdyby ich autorzy nie wspomagali się alkoholem. Wśród wielkich nazwisk znajdziemy Faulknera,

Londona, Lowry'ego. Groźnym dla zdrowia absyntem upijali się Baudelaire, Verlaine, Rimbaud, Oscar Wilde. Polscy twórcy nie pozostawali w tyle: ekscesy alkoholowe Broniewskiego, Hłaski, Wojaczka, Tyrmanda i wielu innych znalazły swoje odbicie w ich twórczości. Do alkoholowej słabości przyznawał się również wielki Czesław Miłosz, który w „Wyznaniu” napisał, że lubił dżem truskawkowy, słodycz kobiecego ciała i wódkę mrożoną.

Wisława Szymborska stworzyła nawet nowy gatunek literacki, zwany „Odwódkami” a którego sens zawierał się w krótkim ostrzeżeniu, co spotka osobnika nadmiernie wychylającego kieliszki np.: Od wina wszędzie tysina, od koniaku finał na haku, od samogonu utrata pionu itp. Sama mistrzyni „Odwódek” nie stroniła od alkoholu, jak to przyznawała, ostrzegała jednak przed jednym kieliszkiem za dużo...

Alkohol i jego historia to jednak temat rzeka. Polecam Państwo niezwykłą książkę Iaina Gately'ego. „Kulturowa historia alkoholu” w przekładzie Anny Kunickiej. Warto ją przeczytać, ponieważ zawiera potężną dawkę wiedzy o dziejach płynów, które potrafiły wpływać na bieg historii. A jak pisał Andrzej Pilipiuk: „Wiedza jest jak spirytus, tylko tęgiej głowie służy”.

Na zdrowie!

Okruszek nr 19 baletowy

(na Międzynarodowy Dzień Tańca)

*M*am w szufladzie dwa niewykorzystane bilety na balet „Jezioro Łabędzie”, który miał być w Tarnowie 21. marca, w pierwszy dzień wiosny. Razem z wnuczką czekałyśmy na ten dzień kilka miesięcy i niestety pandemia koronawirusa odebrała nam tę przyjemność. Organizator obiecuje, że występ baletu rosyjskiego dojdzie do skutku w październiku, pozostaje więc dbać o zdrowie i dożyć tego szczęśliwego dnia. Do tego czasu warto zajrzeć na strony Teatru Wielkiego, który od czasu do czasu prezentuje nagrania premier wielkich przedstawień baletowych. Niedawno

był spektakl „Śpiącej królowny” Czajkowskiego a dziś „Burza” wg Szekspira. Spektakl pozostaje do dyspozycji widzów tylko przez kilka godzin,. Ale warto, naprawdę warto. Tym bardziej, że administrator strony na czacie bieżąco komentuje wydarzenia na scenie.

Dziś Międzynarodowy Dzień Tańca. Święto artystów, którzy jako chyba jedyni umykają prostym opisom, ponieważ – jak pisał Paweł Majewski – „taniec wypada uznać za najbardziej nieuchwytny intelektualnie, jako że jest on najbardziej cielesną formą ludzkiej twórczości”. Odbiorców innych gatunków sztuki ciało twórcy nie interesuje, dla widzów spektaklu tańca ciało tancerza jest najważniejsze, ponieważ jest wszystkim, co ma on do zaoferowania wchodząc na deski sceniczne. Nie farba, nie pióro, nie mikrofon współtworzą dzieło, ale ciało tancerza daje nam najbardziej ulotną ze sztuk.

Jednym z idoli mojej odległej już młodości był Gerard Wilk (1944-1995), pierwszy solista Teatru Wielkiego, niezwykle uzdolniony, wyróżniający się mroczną, zmysłową urodą. Tańczył wszystkie partie solowe, m.in. Zygryda w „Jeziorze łabędzim”, Alberta w „Giselle”, Paola w „Don Kichocie”, Księcia w „Kopciuszku” i Romea w „Romeo i Julii”, tytułowego bohatera „Spartakusa” w balecie Chaczaturiana. Występował również w telewizji w nieco lżejszym repertuarze tanecznym. Po wyjeździe z Polski kilkanaście lat tańczył w Balecie XX Wieku Maurice'a Bejarta, a potem podejmował się pracy pedagogicznej z młodymi adeptami sztuki baletowej. Dla nas tu w Tarnowie, odległym od wielkich wydarzeń kulturalnych, był niedostępny jak „Ognisty ptak”, a mimo to jego zdjęcie towarzyszyło mi przez kilkanaście lat.

Piszę o nim, ponieważ był przykładem, jak ciężko trzeba pracować, by znaleźć się na szczycie marzeń każdego tancerza baletowego. Dziś sale ćwiczeń są zamknięte, baletki mojej wnuczki i ona sama czekają niecierpliwie, kiedy znowu staną przy drążku i wykonają pierwsze pas. Zanim jednak sceny te małe i te wielkie ponownie ożyją, może zechcecie przeczytać niezwykle ciekawą książkę Noel Streatfeild „Zaczarowane baletki”. Jest to wprowadzie tytuł zakwalifikowany jako rzecz dla dzieci i młodzieży, ale sprawi przyjemność

również nieco starszym. A zainteresowanym karierą Gerarda Wilka polecam jego biografię „Gerard Wilk. Tancerz” Zofii Rudnickiej. Nie będziecie żałować.

Okruszek nr 20

*A*нна Dymna sama w sobie jest fenomenem polskiej sceny teatralnej i społecznej. Po licznych sukcesach i głównych rolach filmowych pozostała wierna Krakowowi i tam zrealizowała swój kolejny pomysł, który podobnie jak ona stał się fenomenem i podjęty został przez instytucje kultury, biblioteki i teatry w całej Polsce. Mam na myśli Salony Poezji.

Pierwszy z nich miał miejsce 20 stycznia 2002 roku w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Mimo obaw o frekwencję okazał się sukcesem. Doszło nawet do tego, że bezpłatnymi wejściówkami „koniki” handlowały przez teatrem.

To ciekawe, Salon odbywa się zawsze w niedzielne przedpołudnie, pozornie czas mało korzystny dla takich inicjatyw. A jednak do teatru przychodziły tłumy wielokrotnie liczniejsze niż ilość miejsca na widowni. Dla wielu starszych ludzi wyjście do teatru na Salon Poezji było jedyną okazją do kontaktu z kulturą przez duże K, w dodatku bezpłatną. Była to też okazja do nawiązania nowych kontaktów, do ciekawych rozmów. Jedna ze stałych bywalczyń opowiadała, że wcześniej wychodziła w niedzielę jedynie do kościoła, wracała do domu i samotnie resztę dnia tam spędzała. Niedziela z Salonem Poezji stała się dla niej dodatkowym świętem, rozmowy rozpoczęte w foyer teatru kontynuowała z nową znajomą podczas spaceru na Plantach i na kawie.

Czym jest Salon Poezji? Spotkaniem słowa i muzyki. Słowo odzyskuje tam swoją godność – jak mówi Anna Dymna. Poezję czytają aktorzy, muzykę tworzą miejscowi artyści, czasem uczniowie szkół muzycznych. Zwykle Salon poświęcony jest jednemu poecie, ale bywają też Salony tematyczne.

Anna Dymna: „Salony Poezji to dowód, jak jest potrzebna. Bo pozwala się wyciszyć, zatrzymać, uspokoić. W niej są wszystkie problemy świata; Homer, Słowacki czy Miłosz pozwalają nam zobaczyć, że nasze problemy towarzyszyły człowiekowi zawsze. Że nie tylko nas dotyczą. I nawet jeśli wiersze nie dają odpowiedzi, bo na wiele pytań nigdy nie dadzą, to pozwalają na podróż w inne światy wyobraźni, uczuć, w głąb człowieka. I to jest podróż, która nie ma końca”.

W Tarnowie mamy swój Salon Poezji, powstały we współpracy Miejskiej Biblioteki i Teatru. Miałam zaszczyt przygotować osiem scenariuszy i poprowadzić swoje gawędy o poezji. Zawsze jest pełna widownia, wzruszenia, rozmowy. Mam nadzieję, że po uspokojeniu sytuacji z pandemią, słowo poetyckie wróci do swojego Salonu w Tarnowie, że odpowiednie instytucje wspierające wysupłają z dna sakiewki jakieś grosze na organizację kolejnych spotkań, ponieważ wiele osób na nie czeka. W tym miejscu warto przypomnieć słynny cytat z Norwida:

„Zniknie i przepętnie obfitość rozmaita,
Skarby i siły przewieją – ogóły całe zadrżą,
Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...”.

Okruszek nr 21 (Majówkowy)

M^{aj}.
A jak maj to majówka.

Dla nas, wiejskich dzieciaków 60 lat temu słowo majówka miało tylko jedno znaczenie: nabożeństwo majowe ku czci Matki Bożej odprawiane prywatnie przez grupki wiernych przy odświeżeniu udekorowanych kapliczkach przydrożnych, często wśród pól, na rozjazdach, a czasem nawet w lesie.

Chętnie wraz z Babcią odwiedzałam te małe cudeńka architektury religijnej, stawiane często jako wotum za uzdrowienie czy jako forma

błagania o Bożą opiekę. W kapliczkach nad rzeką stał zwykle św. Jan Nepomucen a pozostałą powierzchnię ścian wypełniały obrazy Częstochowskiej, Ostrobramskiej, Nieustającej Pomocy i in.

Gdy w 1963 roku przeprowadziłam się do rodziców, do miasta, poznałam nowe znaczenie majówki - była to coniedzielna wyprawa nad rzekę lub do lasu w celach rekreacyjnych (wyobraźcie sobie młodzi, wtedy obowiązywał 6-dniowy tydzień pracy i nauki i nie znaliśmy pojęcia weekend). Mama smażyła wieczorem kotlety, gotowała jajka, kompot z rabarbaru, piekła jakieś szybkie ciasto. Rano w niedzielę pakowaliśmy wszystko do koszyka, jechaliśmy zapchany autobusem nad Białą lub dalej, do lasu.

Zwykle spotykaliśmy jakieś ciotki-wujki z dziećmi, rozkładaliśmy koce, panie zdejmowały wierzchnią odzież i zostawały w tzw. kombinacji, panowie ściągali świąteczne garnitury, dorośli grali w karty, rozmawiali, opalali się a my dzieciaki ganialiśmy radośnie, chlapaliśmy się w rzece (wtedy czystej!!!) i pożeraliśmy rodzinne zapasy. Jak to wszystko smakowało!!!

Czasem dostawaliśmy łyk piwa na spróbowanie (ach, to patologiczne wychowanie!!!), krzywiliśmy się i wracali do swoich oranżad i kompotów. Pod koniec dnia zbieraliśmy wszystkie rzeczy, w tym śmieci, i wracaliśmy znowu zapchany autobusem do domu.

Potem był film „Wielka majówka”, film nie tylko o młodocianym złodziejaszku szastającym wielkimi, skradzionymi pieniędzmi, ale też film o naszym marzeniu, by żyć kolorowo, może nawet czasem luksusowo, ale żyć inaczej niż proponowała nam ówczesna szara rzeczywistość.

A teraz majówka, nazywana wielką, to przedłużony weekend obejmujący święta 1 i 3 maja z przyległościami. Jeszcze rok temu takiej majówce towarzyszyły korki na drogach, kolejki do atrakcji turystycznych, drożyzna i tysiące „małpek” i puszek porzuconych w rowach i parkingach leśnych. Tegoroczna sytuacja zweryfikowała wiele planów wypoczynkowych. Pozostaje nadzieja, że jeszcze wiele majówek przed nami, i tych religijnych i tych rekreacyjnych.

Okruszek nr 22 (ceramiczny)

Na murze kościoła Filipinów w Tarnowie widnieje niewielka kolorowa tabliczka informująca, iż w budynku świątyni znajduje się jeden z obiektów Szlaku Ceramicznego Regionu Tarnowskiego.

Szlak zaplanowany i opisany przez Tarnowską Organizację Turystyczną (TOT) łączy Tarnów, Wojnicz, Łysą Górę, Nowy Wiśnicz, Porąbkę Uszewską, Grabno, Łoniową, Brzesko, Jastew, Dębno. Wspólnym elementem tych miejscowości jest posiadanie na ich terenie ciekawych instalacji lub mozaik ceramicznych, zaprojektowanych przez wybitnych artystów tej dziedziny sztuki – łącznie 40 budynków, w czego 19 obiektów znajduje się w Tarnowie.

Są to zarówno domy prywatne, jak i kościoły, budynki użyteczności publicznej, szkoły, obiekty sportowe. Niektóre z nich są okazałe, ogólnie dostępne i dobrze widoczne. To na przykład mozaika Bogdany i Anatola Drwałów na elewacji biurowca Tamelu i tych samych autorów mozaiki na kościele NSPJ przy ulicy Lwowskiej i w kościele Filipinów. To monumentalna kompozycja Kazimierza Gąsiorowskiego stanowiąca zewnętrzny wystrój hotelu „Tarnovia”. To ciekawe mozaiki na domach prywatnych m.in. przy ulicy Moniuszki, Wojtarowicza, Sienkiewicza.

Sytuacja epidemiologiczna w kraju nie pozwala na dalekie wyprawy, ale wspomniane tu obiekty szlaku ceramicznego można zobaczyć podczas spacerów czy przejazdów rowerowych lub zwrócić na nie uwagę po zakończeniu mszy św. Nie wszędzie można wejść, niektóre budynki są jeszcze zamknięte, trzeba też pamiętać o uszanowaniu prywatności właścicieli domów ozdobionych artystycznymi mozaikami.

Szczegółowe informacje, zdjęcia i opisy obiektów można znaleźć choćby tutaj:

<https://www.it.tarnow.pl/atrakcje/region-tarnowski/szlak-ceramiczny-regionu-tarnowskiego/>.

Warto zobaczyć i poznać również i tę część naszego dziedzictwa regionalnego.

Okruszek nr 23 (Świerszczykowy)

Mam przed sobą dwa wydania popularnego czasopisma dla dzieci, na którym wychowały się pokolenia Polaków w wieku wczesnoszkolnym. Dzieli je 75 lat. Pierwszy numer „Świerszczyka”, bo o nim tu mowa, ukazał się dokładnie 1 Maja 1945. Kończyła się wojna, jeszcze trwały walki, a ludzie jak ptaki wracali do swoich gniazd. Towarzyszył im malutki grajek ze skrzypkami, który zaprezentował się tak:

„Jestem ja mały Świerszczyk, wędruję z moimi skrzypeczkami po świecie, daleko i blisko. Po całej Polsce chodzę, od Tatr aż do morza Bałtyku! Idę lasem, łąką, polem... Rzeką płynę... Po powietrzu z wiatrem latam... Zaglądam do Was dzieci przez okienko szkoły...(…) A po co? A na co? Żeby wam dzieci drogie, szeptać o tym, co wesole, co dobre i miłe. Co musicie wykonać i zdobyć! I o tym szeptać będę także, co smutne i złe. Z czym walczyć nam trzeba. Co zwyciężyć”.

W pierwszym numerze uczczono powrót Polski nad morze wierszem szefowej literackiej pisma Ewy Szelburg-Zarembiny a święto 3 Maja wierszem Janiny Porazińskiej, autorami innych tekstów byli m.in. Jan Brzechwa, Lucyna Krzemieniecka, nad oprawą plastyczną czuwał Jan Marcin Szancer. Redakcja pisma mieściła się w Łodzi a drukowano je w Krakowie. Warszawa przecież leżała w gruzach. Liczyło 8 stron, kosztowało 4 złote.

Odzew dzieci był ogromny, przysyłały listy, a w nich swoje zdjęcia, rysunki, zagadki, dzieliły się przeżyciami wojennymi. Z czasem dwutygodnik zamienił się w tygodnik – problemy z papierem nie były już tak dotkliwe, Ministerstwo Oświaty w 1946 roku zaleciło prenumeratę gazetki do szkolnych bibliotek jako pomoc dydaktyczną. „Świerszczyk” adresowany dla najmłodszych uczniów nie był wolny od wpływów propagandowych. O święcie 3 Maja wspomniano jeszcze w 1946 roku, ale od następnego roku obchodzono na jego łamach wyłącznie Święto Pracy. Wytyczne dotyczące bratniej współpracy ze ZSRR omijano zrećtnie drukując tłumaczenia baśni rosyjskich.

Wśród małych korespondentów „Świerszczyka” znalazłam trzech braci z Tarnowa. Wtedy nie obowiązywało RODO, więc bracia podali swój adres. Dom stoi nadal, ale wszyscy trzej bracia już nie żyją. To jeszcze jeden dowód jak wiele czasu upłynęło, odchodzi pokolenie, które swój pierwszy kontakt z czasopismem zawdzięcza właśnie „Świerszczykowi”.

Habent sua fata libelli... miał i swoje losy „Świerszczyk”, zmieniał a raczej rozszerzał swoją nazwę, częstotliwość wydań, pozostała charakterystyczna winieta tytułowa, choć pozbawiona barw, jakie zaprojektowano przed laty. Teraz jest miesięcznikiem, drukowanym na dobrym papierze, spełnia swoją rolę wspomagając rozwój intelektualny dzieci z klas 1-3. Zawsze jednak do dzieci zwraca się Świerszczyk, może ten sam, o którym pisał Jan Zych:

„(...) każdy konik polny
ma malutkie zielone skrzypce,
aby na nich grywał
ludziom we dnie
a gwiazdom w nocy” .

(Jan Zych: Zielone skrzypce)

Mojemu ukochanemu „Świerszczykowi” życzę dalszych pięknych wydań, a Państwa serdecznie zachęcam do zapoznania się ze zdigitalizowanymi powojennymi numerami tego czasopisma, zachowanymi dzięki bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego. Warto również poczytać o historii gazetki, która towarzyszy już praprawnukom pierwszych czytelników.

<https://bcu1.lib.uni.lodz.pl/publication/26592>

<https://swierszczyk.pl/historia>

Okruszek nr 24 (na 5 Maja)

W mediach trwa licytacja, komu w tych ciężkich czasach jest najtrudniej: czy lekarzom, czy pielęgniarkom, czy seniorom, a może dzieciom, a jeśli dzieciom to którym: młodszym czy nieco starszym. A może jednak

politykom, może drobnym przedsiębiorcom, może pani Małgosi, która mnie strzygła a teraz musi czekać na odmrożenie pracy fryzjerów. Jakoś mało kto pamięta, że jest grupa, liczna grupa osób, które sytuacji pandemii nie bardzo pojmują, nie rozumieją, dlaczego nie mogą wyjść z domu, po co im te maseczki, dlaczego nie wolno im przywitać się spontanicznie z sąsiadem, skoro jeszcze jakiś czas temu można było to robić. Te osoby mają dziś, 5 maja, swoje święto: Dzień Godności Osób z Niepełnosprawnością Intelktualną obchodzony w Polsce w ramach światowego Dnia Walki z Dyskryminacją Osób Niepełnosprawnych.

W Tarnowie tradycją stał się w tym dniu kolorowy marsz osób zdrowych i tych z niepełnosprawnością intelektualną, było wesoło, głośno, z poczuciem pewnej ludzkiej wspólnoty. Uczestnicy Warsztatów Terapii Zajęciowej prezentowali swoje umiejętności, swoje prace plastyczne, pokazy taneczne, przedstawienia teatralne. Rynek i okoliczne ulice przez kilka godzin żyły ich radością, podobnie było w kilku innych punktach miasta. Tak było...

Od dzieciństwa spotykam się z takimi osobami. Najpierw był mój wujek, którego niesprawność umysłowa pogłębiła się podczas wojny, pod wpływem niezwykle traumatycznego zdarzenia zatrzymał się w rozwoju i pozostał dużym dzieckiem. Był cichy, łagodny, lubił konie, cukierki krówki, panicznie bał się pomidorów. Umiał czytać, ale czasem tworzył wypowiedzi w swoim własnym języku. Dla mnie wycinał z drewna rozmaite fantastyczne figurki, jakie widział w swojej głowie. Umiał zająć się pracami rolnymi. Po niedzielnej mszy św. listonosz powierzał mu listy dla naszego przysiółka i wujek nigdy żadnego nie zgubił.

Dzieciństwo spędzone w jego towarzystwie dziś widzę jako dar losu, gdy przyszło mi zмагаć się z niesprawnością mojego syna. Poznałam od podszewki polski system szkolnictwa specjalnego, psychologię urzędów i instytucji, do których zwracałam się o pomoc. Wujek szkół nie miał, o kilka klas podstawówki, z kolei syn zdobył nawet dobry zawód ale znalezienie pracy granoczyło z cudem. Wybawieniem okazał się właśnie Warsztat Terapii Zajęciowej w Woli Rzędzińskiej przy firmie „Tarel”. Ilu rzeczy tam się nauczył, ilu poznał nowych przyjaciół, ile zwiedził, jakiej doznał opieki, ile zdobył

dypłomów i wyróżnień – tego nie da się wycenić. Grał w teatrze, nie odczuwał specjalnej tremy przed występami. Nauczył się wykonywać skomplikowane obrazy – całe nasze mieszkanie jest ozdobione dziełami jego i przyjaciół.

A moja młoda znajoma z Zespołem Downa, która codziennie witała mnie zapewnieniem „Kocham cię” i była przeszczęśliwa, gdy podawałam jej ramię i razem wspinałyśmy się na schody, a ona opowiadała mi w swoim skrótowym języku, że była z mamą na zakupach i po codzienną drożdżówkę. Genialnie układa puzzle i na okrągło może oglądać „Ranczo”. Dziś nie rozumie, dlaczego nie może się przytulać i witać z bliska.

Oni wszyscy dziś zamknięci w domach lub w placówkach typu DPS dla osób z niepełnosprawnością intelektualną szczególnie boleśnie odczuwają izolację sanitarną, która pogłębia i tak już istniejącą ich izolację społeczną. Dlatego pomyślmy o nich wszystkich ciepło, niech i dla nich otworzą się wszystkie serca. A może przeczytacie Państwo wiersz ks. Jana Twardowskiego „Do moich uczniów”? To wiersz o takich, jak mój wujek, mój syn i moja młoda znajoma. Link do utworu: <https://literatura.wywrota.pl/wiersz-klasyka/12381-ksiadz-jan-twardowski-do-moich-uczniow.html>.

Okruszek nr 25 (Patronki)

Początek maja jest tak intensywny w rozmaitego rodzaju wydarzenia i rocznice, że trudno się zdecydować, co ważniejsze i o czym mogłabym napisać wcześniej a o czym później. W dniu 2 maja Kościół katolicki wspominał świętą Wiboradę, jedną z kilku patronów czytelnictwa i bibliotek. Była to jak na swoje czasy niezwykle ciekawa i wpływowa postać żyjąca na przełomie IX i X wieku. Pochodziła z terenu dzisiejszej Szwajcarii, z rodziny arystokratycznej. Wspólnie z bratem odbyła pielgrzymkę do Rzymu i pod wpływem przeżyć tam doznanych wstąpiła do klasztoru benedyktynek w

Sankt Gallen, gdzie zajmowała się m.in. sztuką introligatorską. Była odczytana, dociekliwa, korespondowała z moźnymi ówczesnego świata.

Po pewnym czasie zdecydowała się na życie w rekluzji i przestała opuszczać swoją celę klasztorną. Otrzymała łaskę jasnowidzenia, która pozwoliła jej ostrzec przełożonych przed najazdem Węgrów. Dzięki temu ocalono cenną bibliotekę klasztorną, która obecnie jest jedną z najstarszych tego typu bibliotek na świecie. Niestety, sama Wiborada nie przeżyła najazdu, została zamordowana w swojej celi właśnie 2 maja 926 roku. Cella klasztorna, w której przeżyła w stanie rekluzji aż 10 lat, stała się też jej grobem, bo tam została kilka dni później uroczyście pochowana. Ponad 100 lat po jej śmierci papież Klemens II kanonizował ją i została pierwszą kobietą wyniesioną na ołtarze. Jest uznawana nie tylko za patronkę czytelnictwa i bibliotekarzy, ale także, o dziwo – gospodyń parafialnych i kucharek.

Inną niezwykłą kobietą, ważną dla bibliotek a również podniesioną do godności świętej była św. Gertruda z Nivelles. Żyła trzy wieki wcześniej, bo w latach 626-659. Również była zakonnicą, wspólnie z matką założyła klasztor w Nivelles i została jego ksienią. Studiowała Pismo Św. i inne uczone księgi, swoją wiedzę dzieliła się z otoczeniem, dzięki czemu w krótkim czasie jej klasztor stał się miejscem promieniującym kulturą i nauką. Ciekawostką jest fakt, że św. Gertruda jest patronką kotów i ich opiekunów, a przecież koty współcześnie często znajdują opiekę w bibliotekach lub księgarniach. Legenda głosi, że była kuszona podczas lektury przez szatana, który przybrał postać myszy, Gertruda gorąco się modliła o pomoc Bożą i wtedy klasztorny kot rozprawił się z kusicielem w sposób kotom znany czyli po prostu go pożarł. Na wszystkich wizerunkach jest przedstawiana z kotem i księgą. Kościół wspomina ją 17 marca.

Oczywiście, tych świętych i błogosławionych opiekunów bibliotekarzy, bibliofilów, księgarzy jest jeszcze więcej. Wspominam tu te dwie postaci, ponieważ są dowodem, że wiele wieków temu kobiety odważały się być mądrymi i były za to doceniane i szanowane.

Okruszek nr 26 (okruszkowy)

Na pewno każdy zna z domu rodzinnego sytuację, gdy – najczęściej niechcący – nakruszył wokół siebie a upomniany przez mamę zmiatał okruszki chleba czy bułki na szufelkę i wyrzucał do kosza albo dla ptaków. A monolog mamy mniej więcej wyglądał tak: „Znowu nakruszyłeś, dopiero tu sprzątałam, kiedy nauczysz się jeść jak człowiek, tyle razy mówię jedz nad talerzykiem, nawet w twojej pościeli są okruszki, jadłeś ciastka a zabraniałam jeść w łóżku, popatrz jak ten stół wygląda koło ciebie, posprzątaj mi to zaraz i nie krusz, no nie, znowu??? cały dywan zaświniony...” itd. itp... Pół biedy, jeżeli w domu jest pies łasy na te spadające okruszki.

Na pewno też każdy zna kogoś INNEGO. Inny to ktoś, kto nie mieści się w naszych społecznie akceptowalnych normach postępowania, wykracza poza nie, inaczej się ubiera, modli, odżywia, zakochuje. Innemu jest trudniej żyć, ponieważ większość chciałaby nagiąć go do swoich norm. Jeżeli w dodatku inny jest dzieckiem, to dodatkowo rodzice wciągają do pomocy fachowców: lekarzy rodzinnych, terapeutów, psychologów. Skutki bywają gorsze od zamierzonych.

A co się dzieje, jeżeli czyjaś inność łączy się z okruskami? No to wtedy powstaje książka** opowiadająca o perypetiach Marysi, która stale kruszy. Czego się tknie, to kruszy: kanapki, bułki, ciastka. Okruszki ma we włosach, na odzieży, wszędzie gdzie siedzi, stoi lub się bawi, w butach i na sierści psa. Okruszki wypadają jej nawet z zamkniętej buzi. Rodzice różnymi sposobami starają się zapanować nad sytuacją, na przykład (cyt.): „W końcu mama postanowiła wystawić stół z jadalni do ogrodu, na trawę. Dzięki temu nie trzeba było sprzątać, bo po jedzeniu Marysia przez co najmniej godzinę nie miała wstępu do domu i biegała jak szalona po ogrodzie. A okruszki wylatujące z jej buzi na wszystkie strony zbierały wielce szczęśliwe wróble i gołębie”.

* M. Szloser, *Okruszki*, il. Monika Rejkowska, Warszawa: Wydawnictwo Ezop 2017.

Stosowano też folię malarską rozkładaną wokół stołu, tłumaczono, proszono, zmieniono dietę na płynną, nic nie pomagało. Na siódme urodziny zamiast lalki Marysia dostała mini odkurzacz, z którym chodziła do szkoły i na spotkania u koleżanek. Sięgnęli więc rodzice po pomoc medyków, ale ani lekarz Bananan ani psycholog Kudłacz nie znaleźli przyczyn tej dziwnej „choroby”. Wszystkie te działania tak osłabiły w dziewczynce poczucie własnej wartości, że postanowiła przestać jeść. Narzucony sobie post sprawił, że Marysia była smutna i coraz gorzej się czuła. Nie wiadomo jak skończyłaby się jej historia, gdyby przypadkowo nie zobaczyła bratniej duszy w osobie Klemensa, który robił dokładnie to samo: kruszył. Dzieci poczuły od razu więź i wzajemnie się wspierały, a rodzice Marysi zaakceptowali jej inność. Książka jest nie tylko zabawna, mądra i pouczająca, ale także piękna pod względem edytorskim. Świetne, czytelne rysunki, sympatyczne postacie, ciekawy temat to wartości, które powodują, że książkę polubią czytelnicy w każdym wieku. A dorośli być może zrozumieją, że czasami ich nadmierna troska staje się dla dziecka udręką.

Okruszek nr 27 (na Dzień Bibliotekarzy i Bibliotek)

*M*oja przygoda z czytelnictwem zaczęła się dawno, we wczesnym dzieciństwie. Dziadek bowiem przynosił książki z tajemniczego miejsca, które nazywał biblioteką, oprócz literatury klasycznej zawsze w jego plecaku znalazłam coś dla siebie. Korzystał ze skromnych zbiorów wiejskiej biblioteki szkolnej. Gdy poszłam wreszcie i ja do szkoły, byłam najbardziej ciekawa tego miejsca, gdzie są zgromadzone książki. Rozczarowałam się, ponieważ to było tylko kilka starych szaf, a w nich trochę tomów w szaroburym papierze.

Potem były biblioteki szkolne w Tarnowie, gdzie nauczyłam się okładania książek tymże szaroburym papierem, albowiem dostąpiłam zaszczytu bycia tzw. łączniczką biblioteczną. Z perspektywy lat to nie ma się czym chwalić, ponieważ łącznik miał za zadanie robić co miesiąc zestawienie

dla wychowawcy kto z klasy ile książek wypożyczył a kto bibliotekę omijał. W szkołach obowiązywało współzawodnictwo w czytelnictwie i każdy wychowawca miał ambicję, żeby jego klasa wypożyczała jak najwięcej. Nikt nie weryfikował, czy te książki były chociaż otwierane. Tłumaczenie, że na przykład pożyczają się książki w bibliotece miejskiej nie pomagało, „możesz sobie pożyczać, ale w szkole też musisz”. Po latach to samo spotkało moją córkę, gdy tłumaczyła wychowawczyni, że wszystko co potrzebne do szkoły ma w domu a w dodatku bogatą bibliotekę swojej mamy i życia nie starczy, żeby to przeczytać. Obniżono jej ocenę zachowania, gdyż zaniżała statystykę klasy.

Dużo pożyczaliśmy z mamą w bibliotece Domu Kultury Zakładów Mechanicznych. Kierowniczką, pani Basia, swoimi sposobami umiała przekonać przełożonych do zakupu naprawdę dobrych, wartościowych książek. Szkoda, że wiele z nich trafiło do kontenera, gdy likwidowano dom kultury.

Biblioteką, która stała się dla mnie drugim domem na blisko 5 lat, była Biblioteka Jagiellońska. To była i jest prawdziwa świątynia książek. Kochałam szczególnie czytelnię dla studentów i pracowników wydziału filologii polskiej, spędzałam tam długie godziny, z przerwami na chłodną herbatę u pani Janki i kanapki z jajkiem. Korzystałam też z czytelni rękopisów i tam naprawdę trzęsły mi się ręce, gdy przynoszono mi na przykład uroczyste pamiątniki pańienek z bardzo dobrych domów, a w nich wpisy odręczne i rysunki naszych narodowych wieszczów.

I wreszcie nasza tarnowska Biblioteka Miejska im. Juliusza Słowackiego. Korzystam ze zbiorów kilku filii, staram się uczestniczyć w ciekawych wydarzeniach kulturalnych, spotkaniach autorskich, Dyskusyjnym Klubie Książki. Przyjaźń z biblioteką to przyjaźń na lata z ludźmi, którzy ją tworzą i tymi, którzy z niej korzystają. Bezcenna przyjaźń.

Biblioteki i bibliotekarze są także bohaterami książek. Istnieją solidne opracowania tego zjawiska, kilka wymieniam poniżej. Pani Krystyna Bednarska Ruszajowa w swojej książce wyróżnia 5 podstawowych typów literackich bibliotekarzy: erudyci, społecznicy, bohaterowie swojej pracy,

miłośnicy i negatywni. Przedstawiani bywają patetycznie a niekiedy satyrycznie czy wręcz kpiąco, utrwalając szczególnie stereotypowy wizerunek bibliotekarki.

Autorka uwzględniła w badaniach 325 tytułów książek, 158 polskich pisarzy od wczesnego Średniowiecza poczynając. Lektura porywająca, mimo naukowego charakteru. Pozostałe prace naukowe też warte naszej uwagi.

W Dniu Bibliotekarzy i Bibliotek życzę wszystkim naszym bibliotekarkom i bibliotekarzom zdrowia, pogody ducha, ciekawych książek, mądrych czytelników i lepszych zarobków. A Bibliotece Miejskiej – aby już nigdy nie musiała zamykać się przed nami. Przecież – jak pisała Wisława Szymborska – czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką sobie ludzkość wymyśliła

Gorąco polecam:

- Krystyna Bednarska Ruszajowa, „Biblioteki w literaturze polskiej”, Kraków: Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2006;
- Marzena Kowalska, „Wizerunek Biblioteki w literaturze pięknej”, Łódź 2008;
- Jerzy Kałużny, „Motyw biblioteki w literaturze”, w: Biblioteka 1998, T. 2(11), str. 5-14. [Wersja online](#).

Okruszek nr 28 (kamienny)

Gdy moja wnuczka była przedszkolaczką i niekiedy przebywała pod moją opieką, miałyśmy wspólny rytuał, który zaczynał się słowami „Babciu, a pojedziemy dziś na kamienie?”. Nic to, że po drodze kilka innych atrakcji, fajne place zabaw, biblioteka 18, Park Strzelecki, ogród jordanowski, stawy... Kamienie przyciągały Zuzię jak magnes. Trzeba było spakować jakieś smakołyki, napoje, pled i autobusem linii 30 jechać w odwiedzinę do „Trojaczków”. Te trzy wielkie głazy narzutowe, które wiele tysięcy lat temu przywędrowały z lodowcem w nasze strony, wydobyte z wielkim wysiłkiem z prywatnej działki, zdobią dziś plac przez basenem na ul. Piłsudskiego

i przyciągają szczególnie dzieci, które, podobnie jak Zuzia, uwielbiają się na nie wspinać, przytulać do nich, pozować do zdjęć. Gdy próbowałam zrozumieć, co wnuczkę tak w tych kamieniach przyciąga, odpowiedziała krótko „One są dobre”. Po odwiedzinach u „Trojaczków” szłyśmy zawsze do parku, na plac zabaw, na lody, a potem w drodze powrotnej padało pytanie „Babciu, a kiedy znowu pojedziemy na kamienie...”.

Kamienie... rzadko na nie zwracamy uwagę, chyba, że odłamek wpadnie nam do buta albo uderzymy się boleśnie o głaz przydrożny. Albo gdy uderzy w nas kamień obrazy czy obelgi. A tymczasem kamienie to ważny temat literacki. W moich ukochanych „Buddenbrookach” T. Manna siedzenie na kamieniach jest metaforą samotności: „Zdarzało się, że Tonia przechadzała się ze swymi znajomymi (...) Morten wtedy „siedział na kamieniach”. Te kamienie stały się dla nich od pierwszego dnia przenośnią. „Siedzieć na kamieniach” –znaczyło to: „być osamotnionym i nudzić się”.

Z kolei „kamienie przez Boga rzucone na szaniec” („Testament mój” Słowackiego) stały się symbolem poświęcenia życia dla wolności ojczyzny i wróciły do czytelników w postaci powieści „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego. „Kamień na kamieniu” W. Myśliwskiego, „Żywe kamienie” W. Berenta, „Kamienne tablice” W. Żukrowskiego, „Kamienie wołać będą” H. Malewskiej, „Kamyk” Z. Herberta, „Rozmowa z kamieniem” W. Szymborskiej – to tylko kilka wybranych przykładów ważnych utworów literackich, rzec można: kamieni milowych literatury polskiej.

W „Traktacie moralnym” Czesław Miłosz zwraca uwagę na rolę pozornej bierności w odwracaniu biegu dziejów: „A choćbyś był jak kamień polny, lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach”.

Już w wymienionych tytułach słyszymy echa biblijne. Biblia Tysiąclecia wymienia słowo „kamień” 337 razy a słowo „skała” 139 razy, pomija się w tym wyliczeniu przymiotniki utworzone od tych wyrazów.

Nic dziwnego więc, że kamień literacki doczekał się swojej solidnej monografii. Magdalena Roszczynialska i Katarzyna Wądołny-Tatar zredagowały dwutomowe opracowanie „Kamień w literaturze, języku

i kulturze" T.1 i 2 Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2013.

Natomiast o znaczeniu kamienia w Piśmie Świętym traktuje „Atlas biblijnych kamieni szlachetnych i ozdobnych. Pochodzenie, miejsce w Biblii i symbolika", praca zbiorowa, Wydawnictwo WAM.

Warto zaznajomić się z motywem kamienia w literaturze, ponieważ jest on świadkiem naszych dziejów, naszych emocji i towarzyszy nam po śmierci jako kamień nagrobny. Pisał Herbert:

„Kamyki nie dają się oswoić
do końca będą na nas patrzeć
okiem spokojnym bardzo jasnym".

Okruszek nr 29 (chlebowy)

Jednym z pozytywnych zjawisk obecnej pandemii jest powrót do pieczenia chleba w domu. Jeszcze niedawno graniczyło z cudem zdobycie drożdży, a Internet wypełniły przepisy na domowy zakwas i rozmaite pieczywo. A wraz z zapachem chleba powróciły do mnie znowu wspomnienia dzieciństwa.

W domu moich dziadków sporą część kuchni zajmował piec, taki jak z dawnej literatury wiejskiej, z przypieckiem, na którym można było się położyć, z zapieckiem, gdzie składano drewno do wysuszenia, z podpieckiem, gdzie babcia przechowywała blachy i wiaderka, z wbudowanym na stałe kociołkiem na wodę, wreszcie z piecem chlebowym, którego czeluść od czasu przeczytania „Antka" Prusa budziła we mnie lęk.

Co tydzień odbywał się rytuał pieczenia chleba. W piątek wieczorem dziadek przynosił z komory dzieżę. Na jej dnie starannie okryty przechowywany był zakwas z poprzedniego pieczenia. Prapraprzodkiem tego zakwasu był ten, który babcia otrzymała w posagu, gdy przenosiła się do domu męża.

Babcia przygotowywała zaczyn, okrywała dzieżę i stawiała na ławie w pobliżu pieca. W sobotę przed świtem dziadek wstawał wcześniej i modląc się wyrabiał ciasto – do tej czynności potrzebna była siła mężczyzny, mimo, że pieczenie chleba uważano za obowiązek kobiet; babcia dosypywała mąkę, dodatki smakowe i sprawdzała jakość dziadkowej pracy. Po wyrobieniu i wyrośnięciu ciasto przekładano do słomianek wyłożonych płótnem, by ponownie wyrosło.

Dziadek wracał powoli do swoich męskich zajęć, a w tym czasie babcia rozpalala drewno w piecu, po osiągnięciu tam odpowiedniej temperatury, korzystając z pocioska i pomietła wybierała węgliki, wymiatła popiół i na okrągłej, drewnianej łopacie wkładała bochenki do rozgrzanego wnętrza. Upieczone chleby leżały potem na ławie okrytej płótnem lnianym. A do pieca szły buchty drożdżowe. Każdy nowy bochenek przed rozkrojeniem był przeżegnany znakiem krzyża. Marnowanie chleba jako daru Bożego było najcięższym grzechem, gdy kawałek upadł na podłogę, należało go podnieść i ucałować. Dlatego jeszcze dziś moją irytację wywołują panusie grzebiące w bułkach i przebierające w chlebie, bo nie dość wypieczony albo pęknięty albo jakiś taki...

Gdy wracałam z wakacji do Tarnowa, zawsze wiozłam bochen chleba i osetkę świeżego masła owiniętą w liście chrzanu. Takiego chleba nie jadłam już nigdy.

Zapewne wielu z miłych czytelników pamięta sceny z chlebem pochodzące z rozmaitych dzieł literackich. Jest on symbolem sytości, zarobku, powodzenia w życiu, boskiego daru. Był najbardziej pożądany w trudnych, wojennych czasach. Dramatyczne sceny przy wydawaniu chleba opisał m.in. B. Wojdowski w powieści „Chleb rzucony umarłym”. Czytelnicy Natalii Rolleczek na pewno pamiętają Celinę, która kradła chleb w sierocińcu i gromadziła w swojej szufladzie. Tęsknotę do kraju, w którym kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba wyrażał C. K. Norwid. Dla św. brata Alberta Chmielowskiego chleb był synonimem dobroci:

„Powinno się być dobrym - jak chleb.

Powinno się być jak chleb,

który dla wszystkich leży na stole,
z którego każdy może kęs dla siebie ukroić
i nakarmić się, jeśli jest głodny".

Moja pierwsza próba upieczenia chleba niestety nie powiodła się, ale mogę winę zrzucić na mąkę. Jak wiadomo, nie z każdej mąki będzie chleb.

Okruszek nr 30 (rocznicowy)

*J*est taki wiersz „Przy kaszcie” Jana Czały (pseudonim Tadeusza Czapczyńskiego) poświęcony pracy redakcyjnej i drukarskiej Józefa Piłsudskiego w czasach, gdy jeszcze nie był u szczytu sukcesów wojskowych i władzy. Autor wiersza jednym tchem wymienia pseudonimy Piłsudskiego i jego role społeczne i polityczne: „On, Wiktor, Mieczysław, Ziuk, szlachcic, proletariusz, szeregowiec, Wódz (...) zecer, redaktor, Wódz”. Zwraca uwagę pisownia słowa „Wódz” dwukrotnie użytego w krótkim odstępie i podkreślającego najważniejszą cechę późniejszego Marszałka – umiejętność przejmowania przywództwa i bezkompromisowego a czasem nawet i bezceremonialnego kierowania współtowarzyszami, wojskami a potem i całym państwem.

Dziś mija 85. rocznica śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jego kult towarzyszył mi przez całe dzieciństwo spędzone w domu dziadków, w towarzystwie byłego legionisty, który lata pod dowództwem Marszałka do końca życia uważał za najcenniejszy dar losu. Dziadek miał kuferek, w którym przechowywał zdjęcia, dokumenty, listy, odznaczenia, czasopisma i książki poświęcone Legionom. Czasem, na moje usilne prośby, pozwalał otworzyć ten swój skarb, przeglądał razem ze mną, opowiadał, ale prawie zawsze kończyło się tym, że nagle głos mu się załamywał i szorstko mówiąc „Będzie dość” zamykał skrzynkę i wynosił do komory. Nauczył mnie pieśni patriotycznych i legionowych i razem podśpiewywaliliśmy sobie, gdy pracował

przy warsztacie stolarskim. Podobno „Hej strzelcy wraz” (w mojej wersji to brzmiało „hej scelcy w las”) umiałam wcześniej niż „Aniele Boży...”.

Dziadek, wraz z kilkoma kolegami, którzy razem z nim poszli do Legionów, w rocznicę śmierci Marszałka odbywał swoistą pielgrzymkę do Krakowa, gdzie w krypcie pod wieżą Srebrnych Dzwonów przystawali na chwilę jako warta honorowa dla swojego Komendanta. Zamawiali też mszę św. za Jego duszę. Zdarzało się, że byli zatrzymywani przez milicję, spisywani i zatrzymywani złośliwie do chwili, gdy ostatni autobus odjeżdżał z Krakowa. A do domu mieli ok. 40 km...

Wszystkie pamiątki legionowe dziadek polecił pochować wraz z nim. Był to jedyny moment w życiu, gdy miałam ochotę nie posłuchać i zachować coś dla siebie, ale babcia się nie zgodziła i osobiście dopilnowała, by wszystko trafiło do trumny.

Legenda Piłsudskiego znalazła swoje odbicie w literaturze. To nie tylko naiwne wierszyki recytowane przez dzieci z okazji imienin Ziuka, ale przede wszystkim solidne opracowania historyczne i polityczne, to liczne powieści, sztuki teatralne, patetyczne poematy (Tuwim, Lechoń, Wierzyński), wspomnienia i pamiętniki.

Kilka lat temu Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka J. Piłsudskiego w Łodzi zorganizowała na swoje 100-lecie wielką wystawę „Józef Piłsudski w literaturze”. Jej przedłużeniem jest strona internetowa, przedstawiająca dziesiątki zdjęć, tekstów, dokumentów, unikatowych okładek książek i broszur. Rzec godna obejrzenia nie tylko z okazji dzisiejszej rocznicy. Zapraszam, otwórzcie ten link: [Józef Piłsudski - wystawa](#).

Okruszek nr 31 (niezapominajkowy)

*M*aria Konopnicka „Niezapominajki”

Niezapominajki
to są kwiatki z bajki!
Rosną nad potoczkiem,
patrzą rybim oczkiem.

Gdy się płynie łódką,
Śmieją się cichutko
I szepcą mi skromnie:
„Nie zapomnij o mnie”

Dziś Dzień Polskiej Niezapominajki. Święto zainaugurowane i rozpropagowane w 2002 roku przez red. Andrzeja Zalewskiego służy promocji walorów polskiej przyrody, jej różnorodności biologicznej. Drugim celem święta jest przypominanie o naszych obowiązkach pamięci o bliskich, samotnych, starszych, o przyjaciółach.

Niezapominajka jest niezwykle wdzięcznym i żywotnym kwiatem. U mnie na balkonie wyrosła i zakwitła, choć nigdy jej tam nie sadziłam, po prostu nasionko musiało przetrwać w ziemi przywiezionej od ogrodnika. I kwitnie już ponad miesiąc. Wokół bloku niezapominajki wyrosły między płytami otaczającymi elewację. Skoszone 3 tygodnie temu znowu odbiły pędy i kwitną.

Niezapominajka nie ma takiego szczęścia w literaturze jak róża, nie ma poematów na jej cześć. Jest za to seria książek dla dzieci – Seria z Niezapominajką. A tam najlepsze baśnie najlepszych pisarzy.

Mój ulubiony poeta, Jan Zych, napisał wiersz „Błękitna elegia”, w którym wymienia znaczenie nazwy niezapominajki w kilku znanych sobie językach:

„(...) ten maleńki kwiat, nie zapomnij mnie,
niebo, które w jednej źrenicy się zmieści,
prośba błękitnie ułożona we wszystkich językach.
Ne m'oubliez pas.
Niezapbudka.
No me olvides.

Vergissmeinnicht.

Nezabovarak.

Nefelejcs.

Forget me not.

Non ti scordar di me".

Uśmiechnijcie się do niezapominajki. Nie tylko dziś.

Okruszek nr 32 (na 16 maja wspominkowy)

Lubię czytać powieści kryminalne. I zawsze, przy scenach przesłuchań, zadziwia mnie niezwykła pamięć podejrzanych. Potrafią z dokładnością do sekundy powiedzieć co robili 8 miesięcy wstecz („kupilem kebab i zjadłem go siedząc na schodach biblioteki” – to akurat scena z filmu ID), z kim się spotkali, o czym rozmawiali, co jedli, co kupili. Przypomina mi się wtedy wiersz Wisławy Szymborskiej „Dnia 16 maja 1973”. Oto jego początek:

„Jedna z tych wielu dat,
które nie mówią mi już nic.
Dokąd w tym dniu chodziłam.
co robiłam - nie wiem.
Gdyby w pobliżu popełniono zbrodnię
- nie miałabym alibi”.

Skłoniło mnie to do próby odtworzenia tego dnia sprzed 47 lat. Gdzie byłam, co robiłam... Na pewno byłam w Krakowie, na pewno miałam jakieś wykłady i ćwiczenia, a ponieważ byłam kujonem, to na pewno żadnych zajęć nie opuściłam.

Ale jakie wykłady? Jakie słynne nazwisko stanęło w tamtą środę przed nami? Nie pamiętam, nie mam żadnych notatek. A ćwiczenia? Z kim miała ćwiczenia grupa V, w której też były nazwiska znane później? Nie pamiętam. Na pewno byłam na obiedzie w „Żaczku”, ale czy był w tym dniu „budyń z okiem”- nie pamiętam. Po obiedzie na pewno byłam w Jagiellonce, prawie do zamknięcia, lubiłam się tam uczyć, na pewno wkuwałam gramatykę

opisową. Potem na pewno wracałam piechotą na stację przy ulicy Św. Łazarza, gdzie gospodyni kolejny dzień opłakiwała swojego niezapomnianego kota, którego ciało pochowała na pobliskiej budowie a potem miejsce zostało zabetonowane i pani nachodziła codziennie kierownika budowy, żeby może jednak tego kota jakoś odzyskać mogła i pochować godniej. Nieustannie pisała do niego (tzn. do kierownika – nie do kota) jakieś podania i ja – przyszła polonistka – musiałam jej te pisma redagować poprawnie, adresować, a następnego dnia wysyłać. To chyba mnie rozumiecie, dlaczego wolałam być poza domem...

Ulotna i zawodna jest nasza pamięć. Gdzieś nam umykają zdarzenia, adresy i twarze. Dwadzieścia lat temu obudzona w środku nocy recytowałabym kilkadziesiąt numerów telefonów, PESEL-e całej rodziny, numery kont bankowych itp. Dziś moją pamięć liczb zastąpiła pamięć telefonu i komputera. Chyba nie znalazłabym dla siebie alibi, gdyby ktoś w pobliżu popełnił zbrodnię, a ja miałabym odtworzyć, co tam robiłam 16 maja byle którego roku. Czasem żałuję, że nie prowadziłam dzienników, nie zapisywałam przebiegu każdego dnia. Jakaż to dziś byłaby dla mnie pasjonująca lektura. A może jednak nie, może lepiej, że nie utrwalalam wszystkiego... Tak, na pewno lepiej. Ale pisząc ten tekst sięgnęłam na półkę, gdzie przechowuję stare, studenckie podręczniki. I wzięłam do ręki „Zarys składni polskiej” Klemensiewicza (tzw. Klemens), a tam liczne moje notki, zaznaczenia i wpisy. I – eureka!!! – jest data 16 maja 1973, data Szymborskiej. Napisałam wtedy na marginesie: „Klemens, tego się nie da wkuć...”. A jednak wkułam.

A Państwo, drodzy Czytelnicy? Co robiliście 19 maja 2003 roku? A 27 sierpnia 2010? Pamiętacie?

Okruszek nr 33 (papieski)

Dziś wszystkie media od rana trąbią o 100. rocznicy urodzin Karola Wojtyły – św. Jana Pawła II. Cytowane są Jego wystąpienia, pokazywane

zdjęcia i filmy z wizyt w Polsce, uczestnicy papieskich mszy św. dzielą się po latach swoimi refleksjami. A ja wracam myślami do dnia wyboru Polaka na papieża, ponieważ to był dla mnie fatalny dzień i wspominam go ze wstydem.

Było chłodno i mokro, szef nie dość, że zatrzymał nas w pracy po godzinach, to jeszcze zlecił mi wysłanie korespondencji, która musiała mieć datę wysyłki właśnie 16 października. Przypominam, to były czasy, gdy nikomu się nawet nie śniło o e-mailach, a poza tym wszystko musiało mieć pieczątki i podpisy. Sekretarka cieszyła się szczególnymi względami i załatwianie czegokolwiek po pracy było poniżej jej godności.

Byłam zła jak osa, ponieważ mieszkalam na drugim końcu miasta, a o tej porze autobusy kursowały spod mojego zakładu rzadziej niż w ciągu dnia. Na szczęście poczta obok mojego bloku czynna była do 20.00. Stałam więc w dziwnie pozakręcanej kolejce, głodna, zmarznięta i wściekła, że jak zwykle czynne jedno okienko a pozostałe panie pilnie pracują na zapleczu. Kolejka warczała na każdego, kto próbował ominąć jej tajemnicze meandry.

Po godzinie stałam już przy okienku, gdy do wnętrza budynku wszedł starszy, siwy mężczyzna, w rękę nabożnie trzymał kapelusz i miał bardzo rozradowaną twarz. Stanął, rozejrzał się i powiedział: „Proszę państwa, państwo pewnie nie wiecie, nasz Karol Wojtyła został papieżem...”. Zapadła cisza, pani w okienku przerwała rejestrowanie moich listów poleconych, a mnie w tym momencie chyba sam diabeł podpuścił i po prostu wybuchłam:

„Co pan tu opowiada, papieżem może być tylko Włoch, Wojtyła może być wymieniany albo coś ogłaszał, ale na pewno nie został papieżem, pewnie pan coś źle zrozumiał, nas tu nerwy ponoszą a pan jeszcze przeszkadza w pracy”. Kolejka jakby złapała drugi oddech: „Tak, tak, pan źle zrozumiał, szybciej tam, ile można stać ”.

Starszy pan stał jeszcze chwilę, nawet nie próbował podejmować dyskusji, radość zniknęła z jego twarzy, zgarbił się, wyszedł... Oddałam listy, zabrałam książkę korespondencyjną i poszłam do domu, blisko miałam, jakieś

80 metrów. Weszłam do mieszkania. Moi rodzice stali na środku pokoju, z kominka watykańskiego leciał biały dym, spiker powtarzał dobrą nowinę...

Czuję do dziś głęboki wstyd i zażenowanie, zepsułam temu człowiekowi może jedyną chwilę w samotnym życiu, gdy mógł być kimś ważnym, kimś, kto ogłosił zdenerwowanym i skłóconym ludziom „Habemus papam!!!”.

Okruszek nr 34 (PRL)

Mojemu pokoleniu zarzuca się często, że karmi się sentymentami do przeszłości. Urodzeni, wychowani i wykształceni w PRL, zakochiwaliśmy się w naszych rówieśnikach, którzy też nie spadli z innej planety. Rzeczywistość była jaka była, wbrew pozorom nie zawsze taka szara. Słuchaliśmy muzyki swojego pokolenia, chodziliśmy do kina, bawiliśmy się na prywatkach, kibicowaliśmy naszym, staliśmy w kolejkach, cieszyliśmy się z drobiazgów. Odkryciem były ortaliony, spodnie dżinsowe, kabaretki, degolówki i bananówki. Fakt, nie mieliśmy telefonów – przydział na to cudowne urządzenie był pretekstem do spotkania rodzinnego. Posiadanie prywatnej maszyny do pisania było obwarowane przepisami. Działała cenzura, nikt nie miał w domu paszportu. Ale to była nasza młodość, dlatego dziś często spotykamy w necie ostre dyskusje starych i młodych nierozumiejących, jak można tęsknić do czasów, gdy papier toaletowy nosiło się nanizany na sznurek, a przechodnie pytali, gdzie rzucili takie dobro.

Rzadko pamiętamy, że nasze pokolenie współtworzyło niezwykle cenną wartość: wzbogacało język polski wprowadzając nowe słownictwo lub zmieniając znaczenie już istniejącego. Na przykład wymienione wyżej degolówki to były modne czapki, które nosiła cała Polska po oficjalnej wizycie prezydenta Francji Charlesa de Gaulle'a w 1967 roku. Bananówkę na przełomie lat 60 i 70 miała każda dziewczyna – tę spódnicę zszytą z klinów mających kształt skórek z banana spopularyzowała szczególnie Maryla Rodowicz. Do tego platformy i można było ruszać na imprezę. Nie dotyczyło to tylko świata mody.

Kto pamięta, czym był miwisizm? Albo abotomoizm? Jakie przedmioty nazywano narkozą albo łamigłówką? Czym była mandolina a kim bikiniara? Dlaczego do dzieci przychodził Dziadek Mikołaj? W jakim celu miała powstać krzyżówka krowy z żyrafą? Dlaczego naszą stolicę próbowano nazywać Barszawą? A trumniaki – czym były trumniaki i kto wrócił do kraju w drewnianej koszulce? I czy na pewno katafalk służył do ustawienia trumny? Jakie wynagrodzenie nazywane było – pardonnez moi – dupowym? Kim był rabin w polskim biurze? Czego ojcem chrzestnym był Szarik z popularnego serialu? Czy traktory tylko zdobywały wiosnę, czy też były czymś innym?

Nie, nie zmyślam, te wszystkie neologizmy powstały w Polsce Ludowej, nazywanej „najweselszym barakiem socjalizmu/komunizmu”. Tam, gdzie były braki, niedostatek, kolejki – tam powstawały najlepsze dowcipy i określenia nowych zjawisk. Nikomu ani niczemu nie przepuszczono. Inteligentni obserwatorzy życia publicznego wykorzystywali każdą okazję, każde spotkanie i przejęzyczenie władzy (również duchowej) i nadawali im nowy sens. Nic więc dziwnego, że język PRL stał się źródłem badań. Jednym z najlepszych osiągnięć w tej dziedzinie jest książka a właściwie księga „Z polskiego na nasze czyli prywatny leksykon współczesnej polszczyzny”. Autorzy*zebrali tysiące słów, zwrotów, cytatów z prasy, przemówień, wypowiedzi TV, języka ulicy. Praca obejmuje okres od 1944r. i jak dowiadujemy się ze wstępu – zawiera zaledwie 10% zbioru gromadzonego systematycznie w postaci fiszek hasłowych.

Jeżeli więc chcecie Państwo przyrzeć się peerelowskim zjawiskom językowym i zwyczajnie pośmiać, to już I rozdział „Ciong ciulu ciong” przyniesie Wam wiele radości.

*B. Magierowa, A. Kroh, *Z polskiego na nasze czyli prywatny leksykon współczesnej polszczyzny*, Warszawa: wyd. Iskry 2019.

Okruszek nr 35 (na 20 maja)

Za trzy tygodnie obchodzić będziemy 80. rocznicę wyruszenia z naszego miasta pierwszego transportu więźniów do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Ale zanim przeszli ulicami Tarnowa, zanim wsiedli do wagonów, zanim wysiedli na oświęcimskiej rampie i otrzymali swoje numery obozowe, czekała tam już na nich grupa trzydziestu podrzędnych funkcyjnych, którzy przybyli do obozu 20 maja 1940. Byli to więźniowie niemieckich obozów dla kryminalistów, wybrani przez SS, którzy pełnić mieli pomocnicze funkcje.

To byli m.in. kelnerzy, kilku rzeźników, fryzjerzy, piekarz, stolarz, szewc, marynarz, krawiec, cyrkowiec-bokser, malarz, ślusarz. Zwykli ludzie, zwykli Niemcy, którzy zeszli na drogę przestępstwa, zostali skazani na wysokie wyroki, przebywali w różnych miejscach aż znaleźli się w Sachsenhausen, gdzie Rapportführer Gerhard Palitzsch dokonał wyboru kierując się jedynym kryterium: mieli być okrutni a okrucieństwo miało służyć utrzymaniu porządku wśród przyszłych więźniów obozu. Sam Palitzsch słynął z okrucieństwa, a jego podwładni starali się doścignąć mistrza, tym bardziej, że odbywając wieloletnie kary doskonale poznali system działania i oczekiwania przełożonych.

Numer 1 w Auschwitz otrzymał Bruno Brodniewitsch, z zawodu kowal, który został też pierwszym starszym obozowym tzw. Lagerältester. Mówił po polsku, choć rzadko z tego korzystał. Przez więźniów nazywany był Czarną Śmiercią i Czarnym Diabłem. Okrucieństwo nie uchroniło go jednak przed kolejnymi wyrokami – kradł złoto i kosztowności odebrane więźniom, ukrywał w swoim pomieszczeniu, za co przenoszony był z obozu do obozu. Skończył podobno w Bergen-Belsen, gdzie sąd koleżeński więźniów wydał na niego wyrok.

Numer 5 otrzymał Hans Bock, skazany na pobyt w obozie za homoseksualizm i skłonność do narkotyków. Był w Auschwitz starszym szpitalnym, wykonywał wyroki śmierci na więźniach Bloku 11. Jego nazwisko na zawsze związało się z nazwiskiem późniejszego świętego o. Maksymiliana

M. Kolbego – to właśnie Bock uśmiercił Go zastrzykiem z fenolu. Sam też nie przeżył obozu, za narkomanię przeniesiony do podobozu w Łagiszy tam zmarł.

Ostatni, 30 numer z grupy kryminalistów otrzymał Leo Wietschorek vel Witschorek, przed skazaniem pracował w porcie w Hamburgu. W obozie wspiął się na szczyty okrucieństwa, wymyślał straszliwe tortury, w dodatku był zboczeńcem zmuszającym młodocianych do współżycia a następnie ich mordował. Więźniowie znaleźli na niego sposób – podrzucili mu sweter z wszami zakażonymi tyfusem. Mimo pozornie dobrej jak na obóz opieki zmarł, a jego ciało więźniowie pokazali m.in. Wiesławowi Kielarowi, autorowi książki „Anus mundi”, szczególnie dręczonemu psychicznie przez Wietschorka.

Nie piszę o nich, zwykłych kryminalistach, żeby ich upamiętniać, bo nie zasłużyli na życzliwą ludzką pamięć. Byli oni jednak przykładem tego, co Hannah Arendt nazywa banalnością zła. Oni wszyscy, zanim stali się brutalnymi, zdemoralizowanymi do kości funkcjonariuszami obozu, byli najpierw zwykłymi ludźmi, którzy wykonywali pospolite zawody, zwykłe czynności, a gdy weszli w konflikt z prawem, nie umieli już zawrócić. Uwierzyli, że służąc złu, coś ugrają dla siebie, a odpowiedzialność i tak spadnie na mocodawców. Większość z tej trzydziestki nie przeżyła wojny, kilku skazano za zbrodnie wojenne, kilku zdołało się skutecznie ukryć. Osiemdziesiąt lat temu, 20 maja 1940 roku uwierzyli, że oni też są nadludźmi. Jak pisała Arendt, tacy jak oni to „ów nowy rodzaj przestępcy (...) popełnia swoje zbrodnie w okolicznościach, które właściwie nieomal uniemożliwiają mu uświadomienie sobie lub poczucie, że czyni coś złego*”.

Okruszek nr 36 (na 22 maja o prawach zwierząt)

Nieodżałowany Stanisław Lem powiedział kiedyś, że dopóki nie poznał Internetu, nie wiedział, że na świecie jest tylu idiotów. Parafrazując jego

*H. Arendt, *Eichmann w Jerozolimie – Rzecz o banalności zła*, Kraków: Znak, 2010.

wypowiedź twierdzę, że dopóki nie poznałam Internetu, nie wiedziałam, że na świecie jest tyle cierpienia zwierząt. Wiedziałam, że ludzie potrafią się znęcać nad zwierzętami, że głodzą zwierzęta gospodarskie, bezmyślnie wyrzucają lub topią kocie mioty i ślepe szczenięta. Jednak wiedzieć a widzieć, to zupełnie coś innego.

Wspominałam tu nieraz, że wychowałam się na wsi, w naprawdę skromnych warunkach, długo bez prądu. Dziadek był cudownym, mądrym człowiekiem, choć cholerykiem. I to on mnie nauczył, że zwierzętom należy się opieka i szacunek. A zrobił to w najprostszy sposób: własnym przykładem a raz zdarzyło się, że i dość dotkliwą karą. Nigdy nie pozwolił uderzyć konia czy krowy. Zwierzęta gospodarskie były na pierwszym miejscu – to one najpierw dostawały jeść i koło nich najpierw się robiło obrządek. Koty miały swoje miski, nie były zdane tylko na to, co same upolują. Jako jeden z nielicznych we wsi dziadek koty szczepił u weterynarza, inni ograniczali się do obowiązkowego szczepienia psów przeciw wściekliznie. Może dlatego koty u moich dziadków dożywały późnej kociej starości. Na prawie każdym drzewie wokół domu były budki dla ptaków. I to dziadek mnie nauczył, że w czasie lęgowym nie powinno się ptaków płoszyć bieganiem po sadzie.

A jak to z tą karą było? Byliśmy grupą rozbrykanych wiejskich dzieciaków i różne głupoty przychodziły nam do głowy. Jedną z nich było dokuczanie żabom, nie powiem w jaki sposób, bo do dziś mi wstyd. Dziadek to zobaczył i jedyny raz w życiu sprawił mi lanie. I nie mam o to do niego pretensji.

Lubię i szanuję zwierzęta. Miałam w życiu kilka psów, ostatni z nich, Dino (nazwany tak na cześć włoskiego bramkarza Dino Zoffa) był psim terapeutą dla mojego syna. To był tylko rudy, niepozorny kundelek, bardzo szybko poddający się psiej nauce. Pomógł synowi uporać się z lękiem przed wszelkimi zwierzętami. Gdy syn wpadał w swoje nerwy, Dino nie bał się, tylko podchodził do niego i podsuwał główkę do głaskania. Przeżył z nami blisko 16 dobrych, psich lat.

Dziś obchodzimy Dzień Praw Zwierząt. Upamiętnia on jedną z największych w Polsce kampanii obywatelskich, w której zebrano ponad 600

tysięcy podpisów na rzecz uchwalenia ustawy o ochronie zwierząt. Inspirację do tej kampanii dał Klub Gaja, z którego inicjatywy został również ustanowiony dzisiejszy dzień, kiedy przypominamy sobie, zgodnie z artykułem pierwszym Ustawy o ochronie zwierząt, że: „Art. 1. 1. Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Człowiek jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę.”

Tylko tyle. I aż tyle. Czas pandemii jest okazją, by lepiej przyrzeć się nie tylko naszym domowym zwierzętom. W Internecie jest wiele bezpośrednich transmisji z ptasich gniazd, z miejsc bytowania rozmaitych zwierząt. Są świetne programy przyrodnicze. Podczas spaceru można obserwować ptaki, w parku – wiewiórki i kuny, na obrzeżach miasta można spotkać zwierzyną płową. Popatrzmy na te wszystkie stworzenia jako na tych braci mniejszych, z którymi dzielimy miejsce na ziemi.

Okruszek nr 37 (żółwiowy)

Leniwa sobota, zwolnione nieco tempo życia więc i bohater mojego tekstu do najruchliwszych nie należy. Żółw... symbol powolności, ospałości, ale i długowieczności. W maju (23) ma swoje święto o światowym zasięgu. Nie miał może takiego szczęścia do wysokiego miejsca w literaturze, jak pies, koń, kot czy słoń, jednak to m.in. od żółwia zaczęło się utrwalanie słowa pisanego. Chińczycy (a któż by inny) na skorupach żółwia zapisywali najważniejsze dokumenty, ponieważ zaliczali tego gada do zwierząt uduchowionych. W bliższej nam geograficznie antycznej Grecji żółwia skorupa służyła muzyce, ponieważ została wykorzystana do stworzenia pierwszej liry po założeniu siedmiu strun z bydlęcych jelit. Wizerunek żółwia znalazł się także na starożytniej monecie, po wiekach odwzorowany został w „Albumie rytownika polskiego” Joachima Lelewela.

W hinduizmie żółw jako niezwykle wytrzymałe stworzenie stanowił podstawę dla wielkiego słonia, który z kolei utrzymywał na swoim grzbiecie cały świat.

Niestety, żółw zapisał się dramatycznie w biografii greckiego tragika Ajschylosa. Legenda mówi, że Ajschylosowi wyrocznia przepowiedziała śmierć spowodowaną przez spadający przedmiot. Tragik unikał więc miejsc, gdzie coś mogło spaść, nie przewidział jednak, że niebezpieczeństwo czyha ze strony... latającego gada. Otóż w Grecji orłosepy żywiły się żółwiami. Żeby jednak dostać się do mięsa, musiały rozbić skorupę. A robiły to tak, jak obecnie gawrony rozbijają orzechy: łapały żółwia, wznosiły się z nim wysoko i zrzucały go na kamienie. Prawdopodobnie orłosep wziął łysinę Ajschylosa za kamień i zrzucił na niego żółwia. Tragik nie przeżył, a wróżba się dopełniła.

Również los żółwi bywał tragiczny, masowo odławiane, wykorzystywane były np. jako balast w żegludze morskiej – przetrzymywano je żywcem w beczkach, te które przeżyły miesiące podróży morskich – sprzedawano potem do jadłodajni, a martwe po prostu wyrzucano do morza. W literaturze znajdziemy wstrząsające opisy maltretowania żółwi zanim zamieniły się w popularną zupę.

W Polsce żółwie błotne a raczej żółwiki (*toutes proportions gardées*) są pod ścisłą ochroną. Bywają duże okazy ale gdzież im tam do żółwi z Galapagos, olbrzymów żyjących dziesiątki a nawet setki lat.

Mamy polskie, narodowe żółwie literackie. Nasi nobliści uwiecznili żółwia w swojej twórczości: wiersze „Sen starego żółwia” Szymborskiej i „Żółw” Miłosza poruszają problem przepaści między światem ludzkim i zwierzęcym, brak porozumienia między istotami żyjącymi. Z kolei Olga Tokarczuk stanęła wobec niezręcznej dla niej sytuacji. Jest weganką a na bankiecie noblowskim podano m.in. zupę żółwiową. Ujawnienie menu wywołało długą i gorącą dyskusję internautów i oburzenie na królewskich kucharzy. Nie wiem, czy pani Olga spróbowała tego „smakołyku”...

Na koniec przypomnę, że ulubieńcem dzieci jest żółw Franklin, bohater serii książek i filmów animowanych. Kanadyjska pisarka Paulette Bourgeois stworzyła cykl książeczek o charakterze dydaktycznym, jednakże bez nachalnego wciskania dzieciom zasad. Przykład Franklina trafia do dzieci bardziej niż pouczenia. W 2011 roku podjęto w Tarnowie uchwałę, że u zbiegu ulic Szerokiej i Lwowskiej stanie pomnik żółwia Franklina a na ścianie domu

zostanie umieszczony mural jemu poświęcony. Z czasem jednak zmieniły się priorytety i dzieci swojego bohatera nie zobaczą na skwerku. Tym samym pomnik żółwia Franklina w Toronto pozostał jedynym na świecie.

Wszystkim żółwiom w dniu ich święta – sto lat? Może się okazać za mało.

Okruszek nr 38 (na rocznicę śmierci aktora)

W dniu 25 maja mija 9 lat od tragicznej śmierci Edwarda Żentary, świetnego aktora, niezapomnianego Janka Pradery z filmowej adaptacji „Siekierzady”. Pozwalam sobie przedrukować wspomnienie o Nim z mojego bloga.

Pana Edwarda spotkałam jakiś czas wcześniej w parku. Wnuczka spała smacznie a ja okrążałam z wózkiem górny skwer i w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że kilkakrotnie już minęłam siedzącego na ławce mężczyznę, którego skądś znałam. Przy kolejnym okrążeniu już wiedziałam, że to pan Żentara. Siedział lekko pochylony, łokcie oparte na kolanach, obok leżały jakieś dokumenty czy papiery. Wyglądał jak człowiek, który nigdzie się nie śpieszy, który ma czas siedzieć i myśleć.

Podeszłam, przywitałam się z Nim i przypominałam krakowskie warsztaty sprzed kilkunastu lat, w których brałam udział a Edward Żentara – Janek Pradera opowiadał nam o swojej pracy nad rolą w „Siekierzadzie”. Widziałam, że było mu miło, iż ktoś pamięta taki dla niego niewielki epizod jak spotkanie z nauczycielami chcącymi pracować na lekcjach metodą dramy. Porozmawialiśmy chwilę, pożegnaliśmy się życzeniami dobrej pogody i udanych premier.

To był doskonały aktor zarówno teatralny jak i filmowy. Miał świetne warunki fizyczne, za sobą wiele znaczących ról. Dla mnie osobiście był wymarzoną wręcz wcieleniem głównego bohatera „Siekierzady”. Często wracam do tego filmu. W filmie „Życie za życie. Maksymilian Kolbe” Krzysztofa

Zanussiego zagrał tytułowego bohatera, to była wymagająca postać, szczególnie dla ludzi wierzących. Zmierzyć się z nią to zmierzyć się z wyobrażeniem świętości, dać swoją twarz postaci wyniesionej na ołtarze – odważny i udany gest.

Po śmierci Edwarda Żentary odezwały się liczne głosy o jego samotności, o nieporozumieniach z zespołem teatralnym, kłopotach osobistych, o wyjątkowo trudnych warunkach pracy (był dyrektorem teatru bez teatru, który w tym czasie podlegał całkowitej przebudowie). Padły pytania o przyjaciół, o relacje z tarnowskimi aktorami, o brak pomocy ze strony środowiska kulturalnego miasta i ludzi odpowiedzialnych za kulturę.

Znajomy, który podczas przebudowy teatru pracował na jego terenie, wspominał dyrektora Żentarę, jak przychodził czasem, rozglądał się i kręcił głową w milczeniu jakby nie wierzył, że ta ruina znowu przyjmie widzów i aktorów.

A ja cały czas mam wrażenie, że swoim życiem Edward Żentara dopełnił los Edwarda Stachury. Obydwaj mieli to samo imię, nazwiska obydwu składają się z siedmiu głosek (nie mylić z literami), mają podobną budowę i „bezznaczeniowość”, podobne zakończenie. Obydwaj urodzili się 18 dnia miesiąca, obydwaj umarli 24-25 dnia miesiąca (Stachura 24, a Żentarę znaleziono 25 rano), obydwaj odebrali sobie życie w podobny sposób, obydwaj przeszli do historii literatury i filmu jako autorzy postaci Janka Pradery.

Zresztą, w jednym z wywiadów na temat roli w „Siekierzadzie”, Edward Żentara powiedział: „W filmie «Siekierzada» jestem postacią melancholijną, nastawioną do życia na «NIE». Ja sam mam dużo z tego... Mam nadzieję, że nie dojdzie do autodestrukcji, jak w przypadku Stachury, ale jest wiele rzeczy, które nas łączą” – wyznał aktor.

I obydwaj mogliby powiedzieć o swoim życiu jak Janek Pradera: „Zamiast miodem pięknym złotym, strasliwym brzęczeniem mnie częstowano”.

Prochy Edwarda Żentary spoczęły w Koszalinie. Na grobie aktora nie ma typowych inskrypcji, jest tylko jego charakterystyczny autograf i dwie maski: tragiczna i komiczna.

Okruszek nr 39 („Rzeczy, których nie wyrzuciłem”)

Przeczytałam z wielkim wzruszeniem książkę Marcina Wichy „Rzeczy, których nie wyrzuciłem*¹”. Autor porządkując mieszkanie po swojej zmarłej matce, wspomina wydarzenia z jej życia związane z poszczególnymi książkami, zdjęciami, bibelotami itp. Większość z nich to rzeczy nabyte z poczuciem, że oto udało się je zdobyć, przez co mają w sobie jakąś wartość dodaną. Zdobyte w czasach PRL a więc wystane w kolejkach, w zapisach, przez znajomości. Rodzice Marcina byli w jego ocenie zakupoholikami. Kupowali i gromadzili. Tylko pokolenia wychowane w tamtym systemie rozumieją, że to nie był zakupoholizm ale zapobiegliwość. Autor opisuje zbiory rzeczy po matce: „Szuflady wypełnione ładowarkami od starych telefonów, zepsutymi piórami, wizytówkami sklepów. Stare gazety. Zepsuty termometr. Wyciskacz do czosnku, tarka i to, jak to się nazywa, śmialiśmy się z tego słowa, tyle razy się powtarzało w przepisach, mątwka. Mątwka”.

Większość z nas stanęła już lub stanie wobec takiej przykrej konieczności posprzątania po cudzym życiu. Moja Mama ułatwiła mi sprawę, ponieważ sama uporządkowała swoje dokumenty, pamiątki i zdjęcia, które na odwrocie opisała. Uporządkowała, ale zbyt wiele nie wyrzuciła. Miałam o tyle łatwiej, że z czystym sumieniem mogłam wyrzucić potwierdzenia opłat za mieszkanie z blisko 40 lat, opłacone, ułożone latami rachunki za gaz i światło, stare kwity z magla, wycinki z przepisami, którymi wypełniała szuflady kuchenne, ale nigdy czegoś z nich nie upiekła.

Czytając książkę Marcina Wichy pomyślałam sobie, że najgorsze, co można zrobić swoim dzieciom, to zostawić bałagan w papierach, książkach,

*M. Wicha, *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*, Kraków: Karakter 2017.

listach, zdjęciach, jakichś zbiorach. Więc porządkuję. Kolejny raz przekonuję się, ile niepotrzebnego dziadostwa gromadzimy wokół siebie, na półkach, w szufladach, albumach.

Co mojej córce powiedzą zdjęcia z wakacji 1968 – ludzie pluskający się w zapomnianym jeziorze już nie żyją, a ja też nie wiem, kim byli. Kosz?

List od koleżanki z 1972. Nie odpowiedziałam na niego wówczas, nie odpowiem i teraz. Nadal pielęgnuję w sobie żal. Kosz.

Stare notatniki ze studiów . Boże, jakie mądrości w nich np. na temat ekonomii politycznej socjalizmu. Chyba kosz.

Zeszyty do matematyki z LO z kolekcją ocen niedostatecznych wystawionych i obszernie uzasadnionych przez "Zenka" - prof. Ziębę („Uczennica nadal nie opanowała... i nie potrafi...”). Kosz? Nieeee, jeszcze nie.

A moje znaczki, karty telefoniczne z całego świata, kolekcja kartek z krowami?

Figurki. No i te książki na półkach, w szafach, w stosach po kątach. I ukryte w nich stare bilety, programy i inne dziwne zakładki?

A dokumenty? Zaświadczenia? Certyfikaty? Policzyłam niedawno: mam 202 zaświadczenia o ukończeniu szkoleń, kursów, warsztatów, konferencji wyjazdowych, wreszcie kilku rozmaitych studiów podyplomowych... A podobno nauczyciele to niedouczone lenie. Kosz, kosz, kosz.

Jak to ktoś mądrze powiedział: trumna nie ma kieszeni*. A tym bardziej urna.

Okruszek nr 40 (głodowy)

Dzisiejszy felieton nie jest przeznaczony dla osób nadwrażliwych i przekonanych, że życie jest piękne a wszyscy ludzie są braćmi. Dziś

*Jest kilku autorów tego powiedzenia, m.in. Stefan Pastuszewski autor zbioru opowiadań pt. „Trumna nie ma kieszeni” IWŚ 2009. Także nasz tarnowski przedsiębiorca pogrzebowy Bogdan Steinhoff w wywiadzie używa tego powiedzenia <https://dziennikpolski24.pl/trumna-nie-ma-kieszeni/.../3801291>.

będzie o głodzie. Nie o takim zwyczajnym codziennym „coś bym zjadła” ale o prawdziwym, strasliwym głodzie, który wyniszcza i zabija. O takim głodzie każe nam pamiętać literatura.

Najpierw była powieść Knuta Hamsuna. Gdy jeszcze jako studentka czytałam jego „Głód”^{*}, cały czas jadłam, obsesyjnie szukałam jedzenia. A jednocześnie bałam się, że tak jak narrator nie będę mogła tego jedzenia strawić. Więc odkładałam kolejną kanapkę, żeby po chwili znowu ją przeżuwać... i robiłam następną. Nigdy więcej do Hamsuna nie wróciłam. Potem, po latach pojawił się „Głód” Caparrósa^{*}. Czytając odczuwałam przede wszystkim wstyd: za każdy wyrzucony ziemniak, za każdą niedojedzoną porcję, za kupowanie w nadmiarze, za kaprysy kulinarne. Bo ten „Głód” ma konkretne twarze: afrykańskiej matki dźwigającej na plecach ze szpitala martwe dziecko zmarłe z niedożywienia, dziewczyny jedzącej raz dziennie placek jaglany, dzieci rozgrzebujących śmierdzące wysypiska śmieci gdzieś w południowoamerykańskich fawelach. I ten cytat: „Kilka lat temu Ban Ki-moon, sekretarz generalny ONZ, wymienił liczbę, która została powtórzona i zapomniana: co niespełna cztery sekundy jedna osoba umiera na skutek głodu, niedożywienia i wywołanych tym chorób. Siedemnaście w ciągu każdej minuty, dwadzieścia pięć tysięcy każdego dnia, ponad dziewięć milionów w ciągu roku. Półtora Holocaustu rocznie”.

To nie jest relaksująca lektura, ale zachęcam - przeczytajcie. Już od pierwszych stron inaczej będziecie patrzeć na swoje przepełnione lodówki, w których pozornie nic nie ma do jedzenia... I na swoje pojemniki na odpadki bio – o każdy z nich dzieci z faweli by się pobiły...

Wreszcie „Czerwony głód” Anne Applebaum^{*}. Po raz pierwszy w życiu czytając książkę czułam narastającą nienawiść. Jest to obszerne, starannie udokumentowane studium Hołodomoru – Wielkiego Głodu na Ukrainie, głodu zaplanowanego i precyzyjnie zrealizowanego przez Stalina i jego otoczenie w latach 1932-33. Rolnikom ukraińskim nie tylko zabierano wszystko, co

^{*}K. Hamsun, *Głód*, Poznań: Zys i s-ka 2015.

^{*}M. Caparrós, *Głód*, Kraków: WL 2016.

^{*}A. Applebaum, *Czerwony głód*, Warszawa: Agora 2018.

pozwalalo im przeżyć, niszczo zapasy, specjalne brygady najeżdżały wieś i idąc od domu do domu rozbijały naczynia stojące na kuchniach, rozlewały na ziemię zupę i mleko, karały za ukrywanie chleba czy innego skromnego pożywienia.

Cytat: „By przeżyć ludzie jedli wszystko. Jedli zgniłą żywność i wszelkie odpadki, jakich brygady nie zauważyły. Jedli konie, psy, koty, szczury, mrówki, żółwie. Gotowali żaby i ropuchy, jedli wiewiórki. Piekli na ogniu jeże, smażyli ptasie jajka. Jedli korę dębów. Jedli mech i żołądzie. Jedli liście i mleczę, nagietki i łobodę. Zabijali wrony, gołębie i wróble”.

Wcale nierzadko zdarzały się przypadki kanibalizmu. Hołodomor pochłonął ok. 3,9 mln istnień ludzkich. Jego skutki odczuwały kolejne pokolenia.

Dramat głodującej Ukrainy jest przykładem prawdziwości definicji głodu, jaką Tadeusz Borowski zawarł w swoich opowiadaniach obozowych: „Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia”.

Okruszek nr 41 (sąsiedzki)

Gdybym miała wskazać trzy główne filary, na których wspiera się potęga literatury, to powiedziałabym: miłość, wojna i sąsiedzi. O znaczeniu tych dwóch pierwszych napisano wiele tomów opracowań, ja skupię się na sąsiadach. Popularna piosenka mówi: „Jak dobrze mieć sąsiada, on wiosną się uśmiechnie, jesienią zagada”. Rzeczywistość jaka jest, każdy widzi, bywają sąsiedzi serdeczni i sąsiedzi utrudniający życie na każdym kroku.

Gdy czasem wspominam dzieciństwo, widzę ich wszystkich, naszych sąsiadów: dziadków i rodziców moich koleżanek i kolegów. Rodziny wielopokoleniowe, gdzie najstarsi mimo swego podeszłego wieku starali się być użyteczni, a najmłodsi okazywali im szacunek całując w rękę. Sąsiadów mieliśmy życzliwych i chętnych do pomocy, na tym zresztą opierała się

wiejska solidarność: dziś pomagam tobie, jutro ty odrobisz u mnie. Maszyny rolnicze były trudno dostępne, więc takie prace jak kopanie ziemniaków, koszenie zboża, młócenie, czy nawet darcie pierza musiały angażować pomoc sąsiedzką. Sąsiadki towarzyszyły kobietom w połogu, pomagały przygotować wesele, a gdy ktoś umierał, pomagały umyć i ubrać zmarłego, czuwały przy nim i modliły się. Sąsiedzi - mężczyźni wynosili trumnę i trzykrotnie stukali nią w próg domu na pożegnanie, potem wkładali na wóz lub na bryczkę i cała wieś odprowadzała ją do łapanowa. Bez sąsiadów i zgodnego z nimi współżycia nie dałoby się przetrwać.

W mieście bywało już różnie. H. Balzac już w XIX wieku opisał realia życia sąsiedzkiego: „(...)wszystkie egzystencje splatają się ze sobą. Na każdym piętrze domu jedna rodzina spotyka się z drugą rodziną. Każdy chętnie zapuszcza spojrzenie w siedzibę swojego sąsiada. Istnieje niejako serwitut wzajemnej obserwacji, prawo wzajemnej kontroli, spod którego nikt nie może się usunąć”. Jakże prawdziwa refleksja! Kontrola zza firanki! Znacze to, prawda?

Gdy ja przeniosłam się do miasta, kontakty sąsiedzkie podtrzymywała telewizja w czasach, gdy nie wszyscy telewizor mieli. Szczęśliwi posiadacze rubinów, neptunów czy ametystów zapraszali „na telewizor”, wspólnie oglądało się „Kobrę”, „Stawkę większą niż życie”, „Eda, konia który mówi” itp. Do sąsiadki można było wpaść i posiedzieć po lekcjach, poprosić o szklankę cukru, zostawić klucze. Z czasem jednak więzy sąsiedzkie zaczęły się rozluźniać. Mieszkam już 36 lat w bloku liczącym 90 mieszkań i tak naprawdę blisko jestem tylko z jedną z sąsiadek. Większości nie znam, nawet nie kojarzę, z której są klatki.

Napisałam na wstępie, że sąsiedzi są jednym z filarów literatury pięknej. Dodajmy: skłócenia sąsiedzi. Nie szukajmy daleko: „Zemsta” – sąsiedzki spór o graniczny mur, „Pan Tadeusz” – spór o zamek Horeszków, „Nad Niemnem” – spór Korczyńskich z Bohatyrowiczami, „Ogniem i mieczem” – spór Chmielnickiego z Czaplińskim o żonę dał początek potęgi tego pierwszego. A wieloletni spór rodziny Rzędziana o gruszkę na miedzy? A międzysąsiedzkie awantury i kłótnie w „Chłopach” Reymonta i ta pobudzająca wyobraźnię

scena, gdy sąsiadkom wyczerpały się argumenty i przemówiły do siebie wypiętymi nagimi sempiternami? Myślę, że większość zna filmy o Kargulu i Pawlaku, wiecznie skłóconych sąsiadach, którzy bez siebie żyć nie umieli. Ich współczesną wersją byli Solejukowie i Wargaczowie z serialu „Ranczo”, który ponownie z wielką uciechą i upodobaniem oglądam. A sąsiedzi z serialu „Dom”?

Wśród wielu książek z sąsiadami w tytule lub treści na uwagę szczególną zasługuje piękna książeczka dla dzieci: „Nie ma to jak sąsiedzi” Agnieszki Taborskiej (wyd. Debit, 2019) łączy ona w sobie walory wychowawcze z estetycznymi i ze sporą dawką wiedzy o świecie i zwyczajach zwierząt. Kolejny tytuł dla dzieci i dorosłych. Zachęcam. Dobry sąsiad to skarb.

Kilka dni temu, 26 maja obchodzilibyśmy kolejny, już dwudziesty raz, Europejski Dzień Sąsiada, którego celem jest wzmocnienie więzi sąsiedzkich, integracja środowisk lokalnych. Tegoroczna sytuacja uniemożliwiła tradycyjne spotkania przy muzyce, grillu i grach terenowych. Miejmy nadzieję, że niebawem nadrobimy zaległości również w sferze kontaktów sąsiedzkich.

Okruszek nr 42

So nie jest jakaś okrągła rocznica, ale przyjmuje się, że od daty 30 maja 1948 roku liczy się powojenna historia barów mlecznych w Polsce. Wtedy właśnie, w Krakowie, w tzw. Kamienicy Szarej otwarto pierwszą pijalnię mleka, ponieważ nie wydawano tam początkowo innych posiłków, tylko mleko pod różnymi postaciami: naturalne, z kakao, kwaśne, maślaną a nawet tzw. szampan mleczny. Podawano je w małych, ćwierćlitrowych buteleczkach ze słomką.

Z czasem przybywało potraw i klientów. Podstawą barów mlecznych były dania jarskie, jak domowe: pierogi ruskie, naleśniki ze serem lub dżemem, kopytka, leniwe, zupy wszelkiego rodzaju od mlecznej zaczynając. Klientela barów mlecznych stanowiła pełny przekrój społeczny. W końcu o to

pomysłodawcom chodziło: bar mleczny był dla każdego – dla ucznia, dla emeryta, dla urzędnika i robotnika wracającego po pracy. Tanie, smaczne posiłki przyciągały chętnych. W przeciwieństwie do restauracji w barze mlecznym można było zająć wolne miejsce przy stoliku, przy którym już ktoś siedział.

Była też ciemniejsza strona popularności pierwszego polskiego baru mlecznego: kradzieże drobnego wyposażenia. Remanenty wykazały, że tylko w 1957 skradziono bądź zniszczono 19 653 kubki (prawie 60 dziennie!), 6000 łyżek, 6000 łyżeczek, 6740 widelców. Ponieważ kradziono natychmiast również wystawione na stoły solniczki, sól podawano na małych talerzykach albo można było z niej korzystać przy okienku pod czujnym okiem pani wydającej.

W 1958 popularny „Przekrój”, którego redakcja była wielką admiratorką barów mlecznych, ogłosił konkurs na hasło promujące ich działalność. Polacy wykazali się pomysłowością, oto kilka przykładów:

„Co ci dali w mlecznym barze, po jedzeniu się okaże”

„Wiek stateczny da bar mleczny”

„Chętnie jadam w takim barze, gdzie uprzejme widzę twarze”

„W barze mlecznym żołądek bezpieczny”

„Świeże mleko, ser i masło to najlepsze nasze hasło”

„Dla jedynej, dla wybranki postaw kubeczek śmietanki”

„Gdyby krowa Przekrój czytała, w barze mlecznym by jadała”

I wreszcie hasło z grą słów zdobiące witryny barów: „Przez mleczne bary mamy takie bary” i tu wizerunek atlety. Zostało ono szybko sparodiowane „Przez mleczną zupę mamy wielką...” –to już zostawiam domysłowi Czytelników.

Moje kontakty z barami mlecznymi mają bogatą przeszłość – jako uczennica podstawówki chodziłam na obiady do baru przy ul. Lwowskiej. Panie znały mnie, mama płaciła z góry za moje posiłki i wiedziały, co mają mi podać. Podczas studiów rano biegłam na butki z pastą jajeczno-serową i mleko do baru mlecznego przy ul. Krakowskiej w Krakowie (nazwy nie pamiętam ale wewnątrz tak). Niejeden student przetrwał dzięki takim jadłodajniom.

Niestety, tanie bary mleczne znikają z miejskiego krajobrazu. Ograniczenie dofinansowania ze strony państwa, wymyślne urzędnicze wymogi dietetyczne, zakaz stosowania przypraw, zakaz sprzedaży na wynos spowodowały, że kolejne bary znikwały lub zmieniały swój charakter. Na ich miejsce wchodziły banki, firmy telefoniczne, apteki. Poznańska, nieżyjąca już poetka Łucja Danielewska wydała swego czasu „Antyfony barowe”, niestety nie udało mi się do nich dotrzeć. Może ktoś z Państwa będzie miał więcej szczęścia?

Przygotowując ten tekst korzystałam z zasobów Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej, która posiada zdigitalizowane roczniki „Przekroju” (nr 10 z dnia 5 marca 2000 r. str. 11, art. ba. „Bary ach te bary”).

Okruszek nr 43 (bocianowo-dziecięcy)

Podobno to bocian przynosi dzieci, nic więc dziwnego, że Dzień Białego Bociana (31 maja) i Dzień Dziecka (1 czerwca) ze sobą sąsiadują w kalendarzu. Od kilku lat obserwuję życie bocianów białych w Sławacinku na Podlasiu. Ola, córka pana Sylwestra, marzyła o bocianim gnieździe w okolicy domu. Tato zrealizował marzenie dziecka – w 2010 roku postawił solidny, betonowy słup, na nim solidną platformę i po pewnym czasie bociany zajęły taką wyborną „miejscówkę”. Rodzina Piórków to Piór i Lotka, a ich potomstwu nadaje imiona Ola. W całym procesie wychowania bocianiąt - od zalotów rodziców po odloty sierpniowe – uczestniczą obserwatorzy gniazda, które dzięki doskonałej kamerze zdaje się być na wyciągnięcie ręki. Można bocianom pióra policzyć. Niestety, czasem widzimy też eliminację słabszych bocianiąt i po ludzku buntujemy się przeciw prawom natury.

W dzieciństwie naczytałam się „Kajtkowych przygód” Marii Kownackiej i też marzyłam o własnym bocianie. Gdy jeszcze usłyszałam, jak Dziadek czyta „Chłopów” Reymonta i scenę, gdy Witek musi oddać oswojonego

boćka księdzu, moje pragnienie sięgnęło zenitu. Wydawało się łatwe w realizacji. Na polach naszej wsi bociany urządzały co roku sejmiki przed odlotem. Była więc szansa, że któryś nie jest gotowy, ma uszkodzone skrzydło i nie odleci. Na ich bocianie szczęście nigdy do tego nie doszło, zostawało po nich tylko kilka piór. Ale sentyment do bocianów mi pozostał.

Te piękne ptaki mają swoje miejsce w literaturze, zwłaszcza dla najmłodszych. Nie mówię tu o naukowych opracowaniach czy albumach, ale o zwykłych kolorowych książkach przybliżających dzieciom bocianie życie i prawa nim rządzące. Wypada jednak zacząć od Ezopa. To jemu przypisuje się autorstwo bajki „Lis i bocian”, gdzie chytry lis zaprasza bociana na obiad i podaje mu zupę na płaskim talerzu a bocian w rewanżu podaje posiłek lisowi w głębokim wąskim dzbanie. Żaden się nie najadł w gościach, ale zostało mądre przestrożenie:

„Chytre Lisy! pomnijcie, że do czasu sztuka:

Znajdzie się w końcu Bocian, który was oszuka”.

W polskiej literaturze dziecięcej wyróżniają się utwory Marii Konopnickiej „Bocian” i „Podróż na bocianie”, W. Broniewskiego „Odlot bocianów”, Marii Kownackiej „Kajtkowe przygody”, Elżbiety Zubrzyckiej „Filip i bociany”, Wojciecha Mikołuszki „Wojtek”, Mieczysława Gauzy „Bocian Wojtek”, wiele, wiele innych.

Ale jest jeszcze inna grupa książek, w których bocian jest pretekstem do rozmowy z dziećmi o tym, skąd wzięty się na tym świecie. Oto kilka przydatnych tytułów:

- Agnieszka Frączek „Jeśli bocian nie przyleci czyli skąd się biorą dzieci”. Wyd. AWJM, 2008;
- Jirina Strmenova „Czy przyniósł mnie bocian”. Wyd. NK, Warszawa 1981;
- Steven C. Atkins i inni „Bocian czy kapusta? Jak rozmawiać z dziećmi o seksie”. Wyd. Sensus, 2008;
- Elżbieta Pajączkowska „Nie wierzcie w bociany”. Wyd. KAW, 1986;

- Elisabetta Constantino „Mamo, tato, nie wierzę już w bociana”. Wyd. Jedność 2012;
- Gunilla Hansson „Nie wierzymy w bociany: Opowieść o życiu rodzinnym”. Wyd. AD, 1991.

Ja tam jednak w bociany wierzę, ot przedwczoraj naszym Piórkom w Sławacinku wykluło się pisklę nieznanej ptaki. Internauci już się kłóć o imię: Jutrzenka czy Poranek. I jak zawsze Ola wybierze po swojemu.

Okruszek nr 44 (o grzeczności)

Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą – grzmiał Sędzia w „Panu Tadeuszu” reagując na niestosowne jego zdaniem zachowania młodzieży. Dziś obchodzimy Dzień Savoir Vivre'u. Dobra okazja, by zastanowić się nad współczesnym pojmowaniem grzeczności.

W dzieciństwie zapewne wszyscy słyszeli „Bądź grzeczny/a”, „Niegrzeczna dziewczynka, niegrzeczny chłopiec”, „Co za grzeczne dziecko”, przy czym przez grzeczność rozumiano wówczas zachowanie ciche, spokojne, w myśl zasady, że dzieci się widzi a nie słyszy. Grzeczne dziecko było posłuszne, spokojne, mówiło sąsiadom „dzień dobry”, nie brudziło się podczas zabawy, jadło do ostatniego kęsa, nie wybrzydzało, w niektórych rodzinach całowało starszych w rękę (koszmar mojego dzieciństwa), niepytane nie zabierało głosu, a już broń Boże nie wtrącało się do rozmowy dorosłych. Podczas rodzinnych przyjęć dzieci miały osobny, tzw. słodki stół z owocami, ciastami, i tam dostawały posiłek. Każdy dorosły miał niepisane prawo upomnieć nawet cudze dzieci i nie widziano w tym niczego niewłaściwego.

Grzeczne dziecko było dumą rodziców, zbierało pochwały, nagrody w szkole i świadectwa z wyróżnieniem. Czasem chciałoby potępiać się kałuży, ale przecież ta nowa sukienka, te nowe buciki – nie, nie, nie wolno.

Z czasem do świadomości dorosłych zaczęła docierać korczakowska zasada „Nie ma dziecka, jest człowiek”. Zaczęło się mówić o prawach dzieci,

formułować przepisy, wydawać opracowania naukowe dotyczące rozwoju psychicznego i potrzeb emocjonalnych dzieci.

Wychowanie domowe poszło też w nieco innym kierunku. Wielu rodziców skorzystało z możliwości puszczenia tych spraw na żywioł. Czytałam niedawno dyskusję na temat, kto powinien zająć jedyne wolne miejsce w autobusie: 4-letni chłopczyk czy starsza kobieta z dużą torbą. Większość tzw. e-matek opowiedziała się za dzieckiem: bo małe, bo może się przewrócić, bo je ktoś potrąci. Wersja, żeby opiekunka wzięta dziecko na kolana została wyśmiana, bo przecież pogniecie jej odzież. Osoba stojąca w obronie starszej kobiety została pouczona, że powinna wyjąć sobie kij z wiadomego miejsca, w autobusie powinna panować demokracja i zasada kto pierwszy ten lepszy. Zwroty „to przecież tylko dziecko”, „to jeszcze dziecko” stały się przepustką do usprawiedliwienia zachowań niemających wiele wspólnego z zasadami dobrego zachowania. Stąd te dzieciaki biegające (przed pandemią oczywiście) po restauracjach, rozciapujące makaron na stole, przeszkadzające w rozmowach, rozrzucające zabawki innych, rzucające się na posadzkę, gdy coś idzie nie po ich myśli. Zwrócenie uwagi cudzemu dziecku może doprowadzić do potężnej awantury.

A przecież *savoir vivre* to nic innego jak tylko ogłada, dobre maniere, właściwe zachowanie w określonych miejscach i sytuacjach. Przywołany wyżej Sędzia ubolewał:

„Ale co dzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem”.

Szkoły szkołami, ale jest wiele pożytecznych książek dla dzieci, którymi można wesprzeć proces wychowania. Oto kilka przykładów:

- Grzegorz Kasdepke „Bon czy ton. *Savoir-vivre* dla dzieci”, Wydawnictwo Literatura, 2010;
- Joanna Krzyżanek „Dobre maniere czyli *savoir-vivre* dla dzieci”, Wydawnictwo Publicat, 2005;
- Irma Kalmina „Podano do stołu. *Savoir-vivre* dla dzieci”, Wydawnictwo ADAMADA, 2019;

- Zofia Staniszevska „Dzieci w sieci, czyli dobre maniery w Internecie”, wyd. Debit, 2018;
- „Dzieci kontra Rodzice, Dobre Maniery”, gra familijna, prod. Kangur, dost. Empik.

Najważniejszy jednak jest własny, rodzicielski przykład. Człowiek umiejący się zachować w każdej sytuacji i miejscu, łatwiej odnajdzie się w społeczeństwie i nawiąże prawidłowe relacje.

Na koniec coś z Witkacego, który na pewno nie był przykładem potulnego Stasia Ignasia, jednak napisał tak:

„Człowiek, który pojmuje siebie bez żadnego związku ze społeczeństwem, w którym żyje, z konieczności odejmuje sobie całą olbrzymią sferę przeżywania rzeczy naprawdę wielkich”(cyt. z SIW „Narkotyki. Niemyte dusze”).

Okruszek nr 45 (śmieciowy)

*W*Tarnowie od blisko roku toczy się dyskusja wokół opłat za śmieci. Chyba już wszyscy nauczyli się podstaw segregowania odpadów. Nie wszyscy jednak płacą za ich wywóz jednakowo i to powoduje pewną frustrację u tych, którzy nie dość, że starannie śmieci segregują, to jeszcze ponoszą skutki czyjejs nieuczciwości. Pierwotna propozycja władarzy miasta, żeby płacić według ilości zużytej wody upadła zmieciona przez RIO. Obecnie do rozważenia tej formy odpłatności wraca się i promuje ją licznymi plakatami.

Mieliśmy obok bloków altankę śmietnikową a w niej kilka kontenerów oznakowanych zgodnie z ich przeznaczeniem. Wystarczyło otworzyć bramkę kluczykiem i po prostu wrzucić worki z odpadami do odpowiednich kontenerów. Było to wygodne zwłaszcza w okresie pandemii, ponieważ jedynym przedmiotem, którego się dotyczyło, był własny klucz. Ktoś jednak postanowił nas uszczęśliwić i po kilkunastu dniach burzenia, wykopów, hałasu i ogólnego bałaganu postawiono tzw. pojemniki półpodziemne.

Jest to 5 dziwnej budowy walców z kolorowymi pokrywami, które w 2/3 zakopane są w ziemi. Żeby wyrzucić odpady, nie wystarczy już kluczyk. Otrzymaliśmy po 2 ciężkie trójkątne kluczyka, które w razie czego mogą zastąpić kastet. Teraz proces wyrzucania odpadów wygląda tak: przyniesione worki kładę na podłożu, otwieram klapę, przytrzymuję ją lewą ręką a prawą sięgam np. po torbę z odpadami BIO. W tym czasie do pojemnika wpadają też muchy czyhające na okazję i wypadają te, które już się napastały, no i oczywiście specyficzne zapachy.

Wrzucam, opuszczam klapę, przechodzę do pojemnika na plastik, znowu kładę worki, klucz, kłapa, wrzut. Idę do zmieszanych – klucz, kłapa, muchy, wrzut, muchy, kłapa. Wynoszenie śmieci zabiera nam teraz dużo więcej czasu i wymaga sporej siły. Klapy są odporne, spadają samoczynnie, niejedną dłoń już przycięły. Teraz nie da się jak dawniej wyrzucić śmieci po drodze na spacer czy na zakupy, trzeba wracać do domu, porządnie myć ręce i dezynfekować, rękawiczki nie rozwiązują sprawy.

Wiem, biblioteczne strony to nie miejsce do ubolewania o problemach segregacji odpadów. Chcę tylko pokazać, jak pod pozorami nowoczesności można ludziom utrudnić życie.

Mimo tych wszystkich niedogodności, jestem zwolenniczką segregowania odpadów, ale przede wszystkim dobrej, pożytecznej dla wszystkich edukacji od najmłodszych lat. Dzieci szybko chłoną dobre nawyki i zdarza się, że mają lepszą orientację i szybciej podejmują decyzję „co gdzie wyrzucić” niż ich rodzice. A co może być lepszym źródłem wiedzy niż książka? Oto kilka wartościowych tytułów, które pomogą dzieciakom zrozumieć, dlaczego odpady stanowią zagrożenie dla nas wszystkich i co trzeba zrobić, żeby to zagrożenie zmniejszyć:

- Zofia Stanecka, Marianna Oklejak „Basia i śmieci”, wyd. Egmont, 2019;
- Ola Woldańska-Płocińska „Śmieciogród”, wyd. Papilon 2019;
- Izabela Skorupka „Gdzieś daleko, bajka eko”, wyd. Dwukropek, 2018;
- Gerda Raidt „Śmieci najbardziej uciążliwy problem na świecie” Wyd. Babaryba, 2019;

- Alex Frith „Recycling i odpadki. Książka z okienkami”, wyd. Olesiejuk, 2011.

W trakcie pisania tego tekstu Rada Miasta przegłosowała uchwałę, że nadal płacimy za wywóz odpadów w zależności od liczby osób w mieszkaniu... tylko więcej niż dotychczas.

Okruszek nr 46 (Indiański)

Bawiliście się w Indian? Bo ja tak. Miałam wprowadzić zawsze jakąś podrzędną rolę, koledzy najchętniej widzieliby mnie w roli bladej twarzy przywiązanej do słupa i czekającej na śmierć zadaną tomahawkiem, ale mnie to nie zrażało, w końcu doczekałam się roli siostry wielkiego Winnetou. Budowaliśmy szałas imitujący tipi, a krowy, które paśliśmy na łąkach były naszymi bizonami.

Ten szlachetny Apacz był też ulubieńcem mojego ojczyma, który bardzo dużo czytał, przede wszystkim literaturę dotyczącą lat wojny i okupacji, ale także właśnie lżejszą literaturę przygodową, a już książki Karola Maya zaczytywał do ich rozpadu, co nie było trudne, ponieważ marnie były klejone. Tą swoją pasją zaraził i mnie. Po przeczytaniu kilku tomów „Winnetou” i opłakaniu śmierci tytułowego bohatera zaczęłam zgłębiać historię prawdziwych Indian północnoamerykańskich. Zbierałam wszelkie informacje encyklopedyczne, wycinki prasowe, zanudzałam panie bibliotekarki prośbami o książki o Indianach. Jak widzicie, nie byłam typową dziewczynką z warkoczykami, umiałam się wspinać na drzewa, by wypatrywać wrogich Siouków, strzelałam z łuku, a u Dziadków ćwiczyłam rzuty tomahawkiem w deski stodoły (czytaj: siekierką do odłupywania trzasek na podpałkę), co skończyło się dożywotnim zakazem brania siekiery do ręki. Z ojczymem chodziliśmy do kina na wszystkie filmy indiańskie, w tym oczywiście na wszystkie części „Winnetou” z boskim Pierre Bricem w roli tytułowej. Z czasem

zainteresowanie przyblakło, gdzieś tam w zakamarkach piwnic jeszcze są zeszyty z wycinkami.

W ubiegłym roku, jesienią trafiłam do szpitala. Po skomplikowanej operacji dochodziłam do siebie w domu. Ledwie chodziłam. Cóż mogłam robić? Czytać lub przerzucać kanały telewizyjne. Gdy tak człowiek leży i liże rany, to stara się znaleźć jakąś rozrywkę dla oczu i uszu, jakiś punkt zaczepienia, żeby się oderwać na chwilę od sygnałów nadawanych przez cierpiące ciało.

Problem w tym, że śmiać mi się też nie było wolno, podobnie jak kichać, kaszleć i czkać. Więc komedie odpadały, kabarety także. Skacząc po kanałach trafiłam na film mojego dzieciństwa, na „Winnetou” z pięknym Pierre Brice’em w roli niezłomnego Apacza.

Oglądałam ci ja ten pięknie opracowany komputerowo po latach film i nawet nie wiem, kiedy zaczęłam się trząść ze śmiechu. Nie, nie z fabuły ani z gry aktorów, piękny Pierre nadal piękny a może nawet komputerowo podrasowany nieco.

Bohaterowie filmu nadal jak w oryginale mówią po niemiecku (produkcja niemiecko-jugosłowiańska), ale lektor... Lektor godo po ślůnsku!

Oto kilka cytatów:

- „Kaj mosz tego swojygo bajtluka?”
- „Kamrat, jo tyż sie raduja, że cie mom”
- „Te górole majom w pieron kasy” (chodzi o tubylców strzegących skarbów Srebrnego Jeziora)
- „Gupielok zawsze mo szczyńście”
- „Dej se pozór synek, dej se pozór”
- „Kaj poloz ten gizd pieroński”
- „Bedziecie klupać zanim wleziecie”.

Pięknie, prawda? Nigdy nie oglądałam stacji TVS, ale warto było. Jeżeli ktoś chciałby obejrzeć i posłuchać, to stacja ta nadal emituje „Winnetou”.

Howgh, powiedziałam.

Okruszek nr 47 (cyrkowy)

*M*oi wierni Czytelnicy (a mam tu kilkoro stałych czytających) zauważyli, że często odwołuję się do wspomnień dzieciństwa. No cóż, przychodzi na człowieka taki czas, że chce coś ze swoich najlepszych lat ocalić. Moje dzieciństwo dzieliło się między dom dziadków na wsi, gdzie wrony zawracają, a mieszkanie rodziców w Tarnowie: był to lokal współdzielony z innym lokatorem przy ulicy Dwernickiego, w bezpośrednim sąsiedztwie targowicy. Tak władza ludowa załatwiała potrzeby mieszkaniowe swoich obywateli, bywało, że w 3 pokojowym mieszkaniu przydział otrzymywały 3 obce rodziny a kuchnia i toalety były wspólne. Sąsiedztwo targowicy sprawiło, że jako dzieci mieliśmy warunki prawie jak chłopcy z Placu Broni. Gdy nie było handlujących, biegaliśmy tam, grali w piłkę, w klasy, w chłopa, nawiązywali znajomości.

Targowica była też miejscem, gdzie od czasu do czasu cyrk rozstawiał swój namiot i wozy. Nigdy wcześniej nie widziałam przedstawienia cyrkowego, tresowane zwierzęta znałam tylko z książek. Wydawało mi się to bardzo, bardzo atrakcyjne iść i patrzeć, jak groźne lwy lub tygrysy potulnie wypełniają polecenia i na przykład bez oporów skaczą przez płonące obręcze. Jak wielkie słonie siadają na malutkich podstawach a czasem nawet na nich mieszczą wszystkie swoje potężne kończyny. Jak małpki lub misie jeżdżą na skuterach. Jak rasowe pieski chodzą na przednich łapkach a tylne mają wysoko wzniesione. Jak wystrojone konie zgodnie okrążają arenę a wołyżerki wykonują skomplikowane skoki na ich grzbietach. Jak foka nosi piłkę na czubku noska. Wszystko to wydawało się atrakcyjne. Do czasu.

W latach sześćdziesiątych, gdy tylko cyrk przyjeżdżał, z kilkoma koleżankami chodziłyśmy do kobiety, która przygotowywała słodyczne roznoszone i sprzedawane publiczności przed i w przerwie przedstawienia. Zatrudniała ona dzieci z okolicy do pakowania cukierków do wąskich celofanowych torebek, takich jak teraz jeszcze sprzedawane są słodczyki odpustowe. Była żoną jednego z pracowników technicznych cyrku, mieli swój

wóz wypełniony tanimi słodkościami i herbatnikami. Siedziałyśmy przed wozem i pod okiem właścicielki pakowałyśmy cukierki. Jej opuchnięte dłonie nie radziły sobie w tym zadaniem. Płaciła nam słodyczami – dostawaliśmy to, czego by nie sprzedała. Mogłyśmy też zobaczyć cyrk od środka. Nigdy nie zapomnę wozu- klatki, w którym był lew. Miał niewyobrażalnie smutne, zgaszone spojrzenie, głowę na przednich łapach, całą swoją postawą wyrażał rezygnację. Muchy chodziły po nim bezkarnie, obsiadały rzuconą porcję jakiegoś ochłapu. W niczym nie przypominał króla sawanny. Byłam dość wrażliwym dzieckiem, zwyczajnie było mi go żal. Podobnie wyglądał tygrys. Ta sama pustka w oczach, ten sam brak ruchu. Odechciało mi się cyrku. Byłam na przedstawieniu tylko raz w życiu i nikt mnie więcej nie zdołał namówić. Gdyby w cyrku występowali tylko ludzie i pokazywali swoje nadludzkie możliwości, żonglerzy, atleci, klauni, artyści trapezu i lin, akrobaci, gimnastycy – nie widziałabym przeszkód. Pracują tam z własnej i nieprzymuszonej woli. Cirque du Soleil bije rekordy popularności a występują tam tylko ludzie. Ale zwierzęta w cyrku? Teraz, w 21 wieku?

W czerwcu obchodzony jest Dzień Cyrku bez Zwierząt. Już 15 krajów europejskich zakazało całkowicie lub częściowo tresury i występów zwierząt. W naszym kraju jak zwykle toczy się dyskusja. Kilka lat temu Ministerstwo Edukacji określiło jako zjawisko niepożądane nakłanianie dzieci do oglądania spektakli z tresurą zwierząt. Ponad 20 miast, w tym i Tarnów, nie wynajmuje przestrzeni miejskich cyrkom ze zwierzętami. Niestety, ten zakaz jest sprytnie omijany i cyrk rozstawia się na udostępnionych terenach prywatnych na przykład przy dużych galeriach handlowych. Zanim zabierzecie dzieci do cyrku ze zwierzętami, poczytajcie, czym jest i do czego służy ankus...

Okruszek nr 48 (melodramatyczny)

Wbieżącym roku mija 50 lat od premiery książki Ericha Segala (14 lutego 1970) i filmu Arthura Hillera (16 grudnia 1970), które wywarły ogromny

wpływ na pokolenie rówieśników ich bohaterów. U nas, w Polsce, film pokazany został pierwszy raz dokładnie dwa tygodnie od premiery amerykańskiej, co zdaje się być rekordem, zwykle czekało się na zagraniczne dzieła dużo dłużej. Przecież najpierw musiała się wypowiedzieć cenzura w kwestiach jego zgodności z tzw. moralnością socjalistyczną. W kinach w mniejszych miejscowościach wyświetlany był dopiero po wykonaniu większej liczby kopii, przez cały 1971 rok. Książka w Polsce również ukazała się szybko ze zdjęciem pary głównych bohaterów na okładce.

„Love story”... Nikt nie zliczy, ile sprzedano biletów, ile też popłynęło, ile westchnień. Ile zdjęć pięknej Jennifer i równie uroczego Olivera Barreta IV zawisło przypiętych w pokojach młodzieżowych lub w specjalnych zeszytach. Ile dziewcząt nauczyło się dziergać długie szale w pasy biało-czarne/czerwone/niebieskie (niepotrzebne skreślić). Ile sprzedano okularów a’la Jenny, czarnych rajstop i spódnic w kratę. Sama nauczyłam się dziergać na szydełku jej włóczkowe kapelusiki z małym wywijanym rondkiem i tylko ta umiejętność mi pozostała. Ile marzeń i obietnic ten film wywołał...

Polska krytyka filmowa tradycyjnie i niemiłosiernie obraz „zjechała”. Że banalny, że do bólu przewidywalny, że wyciskacz łez, że dla niewymagającego odbiorcy itp. itd. Poważni krytycy wyśmiewali rzekome ubóstwo studenckiego małżeństwa wynajmującego 4-pokojowy dom i jeżdżącego kosztownym samochodziem Oliviera. A odbiorcy na całym świecie walili do kina drzwiami i oknami, koniki pod polskimi kinami zbijały fortunę. Zresztą, nie tylko zwykli zjadacze chleba poznali się na wartości przestania zawartego w filmie. Akademia Filmowa nominowała go do Oscara aż w siedmiu kategoriach, aktorów obsypano Złotymi Globami. Muzyka Francisa Lai („Temat główny” i „Zabawa w śnieżki”) rozbrzmiewała w kawiarniach, na imprezach i weselach i oczywiście na sztucznych lodowiskach.

Rzeczywiście, fabuła filmu jest niezwykle uproszczona. Oto młody, bogaty, wysportowany Oliver, syn milionera, student Harvardu, protestant, poznaje śliczną, biedną, utalentowaną muzycznie Jennifer, studentkę Radcliffe College, córkę piekarza, niepraktykującą katoliczkę. Od sprzeczki

w bibliotece RC do miłości droga była krótka, młodzi szybko i wbrew woli Barretów zawarli ślub, pokonując liczne przeszkody materialne skończyli studia i przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie Oliver otrzymał dobrze opłacaną posadę w znanej firmie prawniczej. I kiedy było tak dobrze i pogodnie, padł cios – Jenny zapadła na białaczkę postępującą w piorunującym tempie i umarła. W jednej z ostatnich scen nieposłuszny syn pogodził się z ojcem.

Znamy? Znamy. Schemat: on bogaty – ona biedna to przecież i nasza rodzima „Trędowata” Mniszkówny, i „Znachor” Dołęgi-Mostowicza i wiele innych tytułów. Gdy Jerzy Hoffman sfilmował „Trędowatą”, mimo tradycyjnie miażdżącej opinii krytyków filmowych, do kin poszło ponad 10 milionów widzów! Na podobnym schemacie budowane są fabuły popularnych książek typu kieszonkowego, zwłaszcza harlequiny. Rzekomo nikt nie czyta, przynajmniej mało kto się do tego przyznaje, a jednak kolejne tomiki noszą w bibliotekach ślady aktywnego i zaangażowanego czytania. Niewidzialna ręka rynku czytelniczego rządzi się innymi prawami niż chcieliby krytycy. Odpowiadając na ewentualne pytania: tak – byłam na „Love story”, tak – czytałam książkę, tak – film mi się podobał, książka mniej. Nie, nie czytam harlequinów. Krytyków zresztą też.

Okruszek nr 49

Kilkanaście lat temu w szkole, gdzie pracowałam, katechetka zorganizowała konkurs na wykonanie najładniejszej małej kapliczki, imitującej kapliczki przydrożne. Nie wnikając w sens takiego konkursu, trzeba przyznać, że dzieci stanęły na wysokości zadania. No właśnie, dzieci? Większość prac była misternie wykonana, z najlepszych materiałów, profesjonalnymi narzędziami. W kapliczkach umieszczano gotowe, kupione figurki, sztuczne kwiatki itp. Już wiecie, że wkład dzieci (najstarsze to klasa szósta) w te prace był znikomy, raczej był to popis opiekunów i rodziców. Finałem konkursu była wystawa i aukcja kapliczek podczas pikniku szkolnego. O poszczególne prace toczyły się prawdziwe potyczki, często o dzieło

walczyli ramię w ramię rodzice i dziadkowie, którzy radośnie się przelicytowali.

O jedną kapliczkę nikt nie walczył, a była ona szczególnie wartościowa. Wykonała ją w całości uczennica, której raczej nikt nie pomagał. Opowiadała mi dokładnie, jak pracowała z gipsem, skąd go wzięła, z czego korzystała. Najpierw zrobiła bryłę gipsu w kształcie prostopadłościanu, ścięła górną powierzchnię w kształt trójkątnego daszka, w bryle wydtubiła wnękę, w której umieściła własnoręcznie ulepioną figurkę Matki Boskiej. Figurka jest niezbyt proporcjonalna, ma nawet trzecie oko. Boczne ściany kapliczki A. pomalowała w polne kwiaty, a szaty figurki różnymi odcieniami niebieskiego, oczywiście farbami akwarelowymi. To wszystko. Bez licytacji kupiłam tę kapliczkę. Przez wiele lat stała w oknie na mojej działce. Teraz przenieśliśmy ją do domu, odczyściłam, poprawiłam malunki i cieszy oko.

Mam sentyment do kapliczek. W miejscowości, w której się wychowałam, było ich sporo. Od 1611 roku bowiem proboszczowie realizowali zalecenia synodu krakowskiego, który w obawie przed wpływami reformacji nakazywał stawianie przy drogach krzyży i słupów z obrazami dla umocnienia wiary, żeby ludzie „swe myśli do Boga wznosili”. Najczęściej powstawały kapliczki domkowe, postawione jako wotum np. za uzdrowienie albo za szczęśliwy powrót z wojny. Wszędzie stały w nich figury Matki Boskiej lub wisały Jej wizerunki. Do kapliczek wstawiano też stare krzyżyki, różańce, poświęcane obrazki, których nikt nie ośmielił się wyrzucić.

W drodze do szkoły mijałam kapliczkę św. Jana Nepomucena. Taka kapliczka jest w każdej chyba miejscowości, przez którą przepływa rzeka. I prawie wszędzie opowiadana jest legenda o cudownym przypiłynięciu figury z nurtem powodzi i wyrzuceniu jej na brzeg, gdzie dla upamiętnienia budowano kapliczkę. Wiecie na pewno, gdzie w Tarnowie stoi święty Jan Nepomucen. Stoi i jak już wiele razy się zdarzyło, niestety, nie zapobiegł powodzi, a jest to jedno z zadań tego świętego. Chronić ma bowiem mosty, rzeki i zasiewy.

Zbliżają się wakacje. Wielu z nas zostanie w mieście i ze względu na ograniczenia nie wyjedzie zbyt daleko. Dlatego warto zwrócić uwagę na te

przykłady małej architektury religijnej, jaką są kapliczki i krzyże przydrożne. Każdy z nich ma swoją historię, za każdym kryją się jakieś ludzkie problemy, dramaty a czasem cuda. W Miejskiej Bibliotece im. J. Słowackiego można pożyczyć przewodnik pt. „Kapliczki i krzyże przydrożne w Tarnowie” autorstwa Andrzeja Mleczi. Wydany 4 lata temu przez Oddział PTTK Ziemi Tarnowskiej zawiera mnóstwo zdjęć i opisów. A jeśli ktoś chciałby np. podjechać rowerem poza Tarnów, to jest do dyspozycji cenne wydawnictwo pod red. Jana Rzepy „Kapliczki, figury i krzyże przydrożne na terenie Diecezji Tarnowskiej”. Zdziwicie się drodzy Czytelnicy, że tak wiele jest miejsc, których na pewno nie widzieliście.

Okruszek nr 50 (maturalny)

*J*uż zaczęło się astronomiczne i kalendarzowe lato, a maturzyści jeszcze nie wiedzą, na czym stoją. Jeszcze piszą egzaminy z wybranych przedmiotów, powtarzają języki obce, niektórzy przygotowują się do egzaminów ustnych.

Gdyby za kilkadziesiąt lat jakiś kronikarz chciał opisać ten maturalny czas, to wzorem Sienkiewicza mógłby zacząć „Rok 2020 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia”. Przyznajcie sami, dziwny rok, nie dość, że przestępny, to jeszcze taka zima nie zima, trąby powietrzne, powodzie, no i ta pandemia: maseczki, przyłbice, rękawice i inne akcesoria, zakazy, nakazy. I obawa, co to będzie i jak się skończy.

Niedawno spotkaliśmy się w większym gronie my maturzyści 1972 roku. Jak zawsze, wspomnieniom nie było końca. Nasz rok maturalny też obfitował w liczne ciekawe wydarzenia: PRL otworzyła granicę z NRD, doszło do całkowitego zaćmienia Księżyca, zmarła Mahalia Jackson, 11 lutego Wojciech Fortuna zdobył złoty medal w Sapporo a do Tarnowa z gospodarską wizytą przybył w tym samym dniu Edward Gierek, kolejne wybory do Sejmu wygrał Front Jedności Narodu (99,53% ważnych głosów).

Rozpoczęła się budowa Huty Katowice, w Tarnowie zaś kontynuowano w tempie stachanowskim budowę pierwszego wieżowca.

Na przedmaturalnej giełdzie pewniakiem była twórczość Władysława Broniewskiego, wszak w 1972 przypadała 75 rocznica jego urodzin i 10-lecie śmierci. I rzeczywiście, w większości województw był „temat z Broniewskiego” i sama taki pisałam. Ocena pracy pisemnej uwarunkowana była nie tylko wartościami merytorycznymi, ale także liczbą błędów ortograficznych, gramatycznych i interpunkcyjnych. Dzisiejszym maturzystom wyposażonym w zaświadczenia o dysortografii, dysleksji, dysgrafii itp., z dostępem do słowników i tablic, trudno uwierzyć, że 48 lat temu czyjś los zależał od sześciu źle postawionych przecinków. Po emocjach pierwszego dnia przyszła pora na matematykę, za naszych czasów był to przedmiot obowiązkowy bez względu na późniejsze plany abiturienta. Wyboru zadań nam nie pozostawiono, na trójkę należało rozwiązać przynajmniej jedno dobrze a kolejne równie dobrze zacząć i doprowadzić do punktu, z którego już prostą drogą można dojść do rozwiązania.

Potem już było z górki: pisemny egzamin z wybranego przedmiotu, egzaminy ustne i 2 czerwca 1972 wydano nam świadectwa dojrzałości, tylko na chwilę do wglądu, ponieważ to szkoła przesyłała wtedy dokumenty kandydata na wybraną uczelnię. A na nową drogę dostaliśmy słowa profesora Czesława Banacha, pedagoga, pracownika wielu szczebli i instytucji oświaty w Krakowie skierowane do maturzystów roku 1972: „Trzeba być człowiekiem poszukującym nawet wtedy, gdy system nauczania nie jest poszukujący”. Z ręką na sercu mogę powiedzieć dziś, po 48 latach, że wielu z nas było ludźmi poszukującymi. Prawie wszyscy ukończyliśmy dobre, wyższe studia. Mieliśmy ciekawe, urozmaicone życie zawodowe. Ale najważniejsze – do dziś trzymamy się razem, spotykamy nie tylko na pogrzebach znajomych, celebруемy wspólne wyjazdy, kolacje, ogniska. I tego życzę tegorocznym maturzystom – aby przyjaźnie zawarte w szkole średniej przetrwały wszelkie burze i wstrząsy życiowe.

Okruszek nr 51 (powodziowy)

Woda jest straszliwym żywiołem. W swej najgroźniejszej postaci jest też fascynująca. Młody Werter w liście do przyjaciela Wilhelma opisał nocną powódź w okolicach Wahlheim: „rzeka wystąpiła z brzegów, wylały strumienie i całą ulubioną dolinę moją aż po Wahlheim nawiedziła powódź. Pobieglem tam po jedenastej w nocy. Spoglądając ze skały, miałem straszne widowisko. Oświetlone księżycem rozpięte fale szalały po polach, łąkach, zagajnikach, cała dolina zmieniała się w smagane burzą jezioro, a wicher piętrzył bałwany” („Cierpienia młodego Wertera” J.W. Goethe).

Wychowałam się w pobliżu rzeki Stradomki. W upalne dni biegaliśmy tam, żeby się popluskać w płytkiej, nagrzanej i leniwie płynącej wodzie. O takich płyciznach mówiło się, że sięgają bocianowi po pięty (co nie jest prawdą, bo pięta bociana to ten staw, w którym zgina nogę, gdy śpi na stojąco, na co dzień bocian chodzi na palcach). Jak było z tą piętą tak było, ale rzeka zwykle nie zagrażała wioskom, przez które przepływała. Można było w niej łowić ryby, raki, nie przypominam sobie, żeby ktoś w niej się utopił. Przez most na Stradomce przechodziłam do szkoły w Grabiu, a wracając zwykle zatrzymywaliśmy się całą gromadką przy barierce i wypatrywaliśmy ryb.

Idąc prawie cztery kilometry do Łapanowa na przykład na jarmark, na większe zakupy albo do kościoła szło się cały czas wzdłuż tej rzeki, a ja bardzo lubiłam chodzić wątem przeciwpowodziowym. Więc zwykle rozstawaliśmy się z dziadkiem, on sobie jechał wolniutko na rowerze lub wozem a ja szłam wątem i spotykaliśmy się na rynku. Przychodził jednak czas, gdy Stradomka pokazywała swoje groźne oblicze. To był czas wiosennych roztopów i powodzi. Wtedy, ponad 60 lat temu rozlewała się szeroko, ponieważ nie była regulowana a wokół rozciągały się chaszcze i pola zalewowe. Most w Grabiu był wówczas drewniany i drżał, gdy kry i pnie uderzały w drewniane słupy. Gdy rzeka wylała, nasza szkoła zostawała za mostem i nie chodziliśmy do niej, dopóki woda nie ustąpiła. I nawet obecność cudownej figury św. Jana

Nepomucena nie pomagała, święty dzielił los mieszkańców i też czasem też moczył nogi. Oł, takie atrakcje mojego dzieciństwa.

Patrzę na ostatnie zdjęcia i filmy z Łapanowa i czuję głęboki smutek, jak Werter: „Całą ulubioną dolinę moją nawiedziła powódź”. Kolejny raz woda ze Stradomki zalała miasteczko, rynek z charakterystycznym dębem i pomnikiem upamiętniającym poległych w 1932 roku, zabytkowy, drewniany kościół pw. Św. Bartłomieja Apostoła. To był nasz kościół parafialny, każdy z nas miał tam swoje ulubione miejsce – ja np. lubiłam siedzieć w bocznej kaplicy św. Anny a wujek na stopniach bocznego ołtarza Ukrzyżowania, dziadek z kolei wchodził na chór. Zalane zostały charakterystyczne stare domy przy rynku i głównej drodze. Zalana została droga do cmentarza (ten na szczęście jest na wzgórzu) i otoczenie nowego kościoła. Jest to dokładne powtórzenie sytuacji sprzed 10 lat, gdy Stradomka wylała również w nocy z 16 na 17 maja 2010. Wtedy remont trwał ponad 3 lata. Nie obejmował przecież tylko kościoła, tam mieścił się również np. Warsztat Terapii Zajęciowej dla niepełnosprawnych, żłobek dla dzieci i inne obiekty służące całemu miejscowemu społeczeństwu.

Wychowałam się w pobliżu rzeki Stradomki, przynajmniej raz w tygodniu bywałam w Łapanowie. Dla wielu osób w Polsce do niedzieli 21 czerwca br. te nazwy niewiele mówiły. Dla mnie to była moja najpierwsza i najmniejsza ojczyzna. Dlatego tak mnie boli, że kolejny raz żywioł zniszczył dorobek pokoleń.

Okruszek nr 52

Ostatni dzień tegorocznego czerwca był piękny, słoneczny i rześki. Staliśmy z Adamem pod starymi lipami otaczającymi kościół Matki Bożej Szkaplerznej nad Wątokiem. W lipach buszowały pszczoły i trzmiele, śpiewały ptaki odprawiające swoje ceremonie rodzinne. Pachniało miodem, latem, spokojem. A my przyszliśmy tu i staliśmy w gromadzie innych ludzi, żeby

pożegnać naszego Kolegę Piotra, z którym pięćdziesiąt dwa lata temu zaczęliśmy naukę w I Liceum Ogólnokształcącym i czterdzieści osiem lat temu zdawaliśmy tam maturę. Słońce, śpiew ptaków i zapach lip kontrastowały z żałobnymi pieśniami i zapachem wieńców. Taka kolej rzeczy, można powiedzieć, jak w piosence:

„Przychodzimy, odchodzimy
leciuteńko na paluszkach
Szczotkujemy wycieramy
Buty nasze twarze nasze
Żeby śladów nie zostawić
Żeby śladów nie zostało(...)”.

Te lipy stały w tym miejscu, gdy nas na świecie nie było i będą dalej kwitły, gdy nas już nie będzie. Potęga natury, jej trwanie i witalność zawsze fascynowały. Wielkie dzieła literatury pełne są opisów jej zjawisk. Chwałę przyrody wyśpiewał Edward Stachura w wierszu-pieśni „Gloria”, uczniowie niepokorni omijali sprytnie lekturę opisów przyrody w „Nad Niemnem” czy „Panu Tadeuszu”. A ja teraz czytam książkę, po którą są zapisy w bibliotece (jestem aktualnie szósta w kolejce, co oznacza, że może przed Nowym Rokiem bym się do niej dorwała, więc kupiłam), książkę – bestseller, wydaną w czterech milionach nakładu w 41 krajach świata.

Autorka, Delia Owens*, jest przede wszystkim zoologiem. Wcześniej wydawała książki poświęcone jej badaniom afrykańskiej fauny i flory. W 2018 wydała powieść „Gdzie śpiewają raki” („Where the Crawdads sing”) i udało jej się osiągnąć sukces, o jakim marzą pisarze zaprawieni w bojach wydawniczych. Znajdziecie tu wszystko: wzruszenia, tajemnice, skomplikowane uczucia, ale przede wszystkim „odę do świata przyrody”. Tłem powieści i pełnym współuczestnikiem zdarzeń są mokradła Karoliny Północnej, główną bohaterką Kya, porzucona dziewczynka, która wychowuje się tam sama i poznaje proste prawa natury i brutalne prawa ludzi.

* D. Owens, *Gdzie śpiewają raki*, Warszawa: Świat Książki 2019.

Jeśli nie wiecie jeszcze, co czytać w cieniu wakacyjnej lipy, w sennym brzęczeniu pracowitych pszczół, sięgnijcie po śpiewające raki. Będziecie zachwyceni i nawet nie zauważycie, że nie omijaliście wzrokiem opisów przyrody.